Nr. 50 (1457) Warszawa, 12 Grudnia 1908 r. Rok XXVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE

Naiwna polityka.

Profesor Askenazy na pierwszych łamach *Dnia*, który zaświtał pierwszego grudnia w Warszawie, daje czytelnikom lekcję historji i polityki w dwóch artykułach „Dwie chwile" i „Odpowiedzialność". Słowa jego przyjąć musieli bezkrytyczni czytelnicy z wielkim zadowoleniem, jakkolwiek bowiem wszystkim stronnictwom dostała się tam jakaś lekka reprymenda, co obecnie jest bardzo mile widziane, jednakże „cały naród" wyczytał moc komplementów dla siebie samego.

Przypuszczalnie czytelnicy bezpartyjnego dziennika są również bezpartyjni, a stąd za błędy stronnictw nieodpowiedzialni, mogą się więc do syta upajać pochwałami, a nagan nie przyjmować pod swoim adresem. Jakim sposobem „Polska liczebnie, materjalnie, duchowo rozrosła, zagospodarowana, spotężniała", „w obecnym przesileniu nie znalazła się na wysokości sytuacji", gdy przed 90-ciu laty „beznadziejnie i bezsilnie agonizująca" — umiała jednak wyzyskać ówczesne polityczne konjuktury i otrzymać rzecz „bądź co bądź dużą: Królestwo Polskie w roku 1815-ym" — tego p. Askenazy ani sobie, ani czytelnikom wyjaśnić nie zdołał, a frazes o „odpowiedzialności" wcale nie wystarcza dla wywikłania się z dylematu, który autor sam stworzył.

Położenie nasze — dowodzi p. Askenazy — było pod każdym względem lepsze w 1905 roku niż w 1815-ym. Rosja była potężniejsza po wojnach napoleońskich, niż po wojnie japońskiej, Polska zaś silniejszą (!) niż była przed 90-ciu laty. Z tego zastrzeżenia wynika, że jeśli wówczas otrzymaliśmy Królestwo Polskie, to obecnie powinniśmy byli dostać coś lepszego i coś więcej niż stan wojenny. Kto temu winien, że stało się inaczej? Winniśmy my, a raczej stronnictwa: partje skrajne, że słuchały komendy równoległych partji rosyjskich, postępowe, że „wprowadziły sztuczne zróżniczkowanie między ideją postępu i narodowości" i „fałszywie wzięły w ręce kwestję „żydowską", ugodowcy, że się „spóźniali i nie zdążali z duchem czasu" — a prócz tego — „nie zapewnili sobie czucia ani z rządem, ani z pokrewnymi sobie wpływowymi czynnikami rosyjskimi", wreszcie narodowi demokraci, że ująwszy w ręce przedstawicielstwo narodu — nie otrzymali ani rzeczy „dużej", ani nawet „małej" — tylko stan wojenny.

Najwięcej jednak zawiniła Rosja, gdyż ona grała rolę czynną, gdy my „z konieczności" — jak wtedy tak i dziś — „bierną". Stąd też na Rosję, zdaniem p. Askenazego spada główna odpowiedzialność.

Przypuśćmy, iż zgodzimy się na ogół z p. Askenazym, że wszystkie stronnictwa nasze popełniły błędy, choć nie zgodzimy się nigdy na ich określenie. Naprzykład nie możemy winić postępowców o „sztuczne zróżniczkowanie postępu i narodowości", gdyż ono wyszło wprost z przeciwnego im obozu i właśnie przeciw temu różniczkowaniu postępowcy stale protestowali. Nie możemy też oskarżać realistów, że „nie zapewnili sobie czucia", z tymi żywiołami rosyjskimi, o których p. Askenazy wspomina, gdyż dane „wpływowe czynniki" w Rosji były i będą zawsze przeciw naszemu narodowi.. Mieć z nimi czucie, to znaczy zwrócić się przeciw własnemu społeczeństwu. Nie zgodzimy się też na podział win między stronnictwa, gdyż współwinnym z nimi był i cały bezpartyjny ogół przez swą bierność i abstynencję, przez to, że usiłowań dobrych nie poparł, chybionym nie przeszkodził.

Mniejsza zresztą o błahostki, a błahostką jest zaprawdę wzajemne zarzucanie sobie błędów już popełnionych, już niestety bezpowrotnych i nieodwołalnych, jakkolwiek rzeczą doniosłą i wielką byłoby przewidywanie ich i ostrzeganie wtedy — gdy ich jeszcze uniknąć było można. Wielką jest również i doniosłą rzeczą właściwa ocena faktów dziejowych, wyjaśnianie czynników, z których one nieuchronnie wynikły. Tego mamy prawo żądać od historyków i w tym tylko rozumieniu historja może być mistrzynią życia. Jej sąd nie jest wymiarem sprawiedliwości, jej wyroki nie są morałami, jej prawa — to nie przykazania. Nie po nagany, pochwały, groźby i obietnice do niej się zwracamy, lecz po faktyczną prawdę. Doraźne wskazówki, pożyteczne zachęty — słowem, cały aktualny morał — wydobędzie z niej na własny użytek każde pokolenie w miarę potrzeby. Pan Askenazy zeszedł z tego naukowego gruntu; wprowadził do swej lekcji historji czynnik niedozwolony, nieusprawiedliwiony wobec etyki naukowej: dowolność i tendencyjność i dlatego z naiwnej przeróbki historycznej wyniknęła naiwna polityka.

Pan Askenazy w swym zestawieniu „Dwóch chwil" pominął, niby drobnostki bez znaczenia, fakty najkapitalniejszej wagi i doszedł stąd do wniosku, zdolnego wprawić w osłupienie historyków całego świata mianowicie: szanse Polski w sprawie rewizji jej stosunku do Rosji przedstawiają się przedmiotowo nierównie pomyślniej w 1905 roku aniżeli w 1815-ym.

A oto pominięte i przemilczane przez p. Askenazego drobnostki:

Konstytucyjnego Królestwa Polskiego nie stworzyła „wszechpotężna a samowładna Rosja", dla której—jak twierdzi p. Askenazy, nie było w ówczesnej Europie żadnej politycznej przeciwwagi, lecz kongres wiedeński, a tam liczyć się ona musiała z całą

koalicją europejską, która wraz z nią obaliła świeżo potęgę Napoleona i jeszcze przed widmem tej potęgi drżała. Wszakże obrady kongresu przerwała nagła i groźna wieść, że „Korsykanin" uciekł z Elby i wszakże w ciągu 100 dni jeszcze ważyły się szale między blednącą gwiazdą napoleońską a wschodzącą konstelacją Świętego Przymierza, które w ciągu epoki następnej tylko połączonymi siłami zdołało trzymać w jarzmie zrywające się do wolności ludy całej Europy przeniknione hasłami rewolucji francuskiej.

Polska nie była wówczas bynajmniej tak „bezsilną i agonizującą" jak twierdzi prof. Askenazy — ani jak jest obecnie. Miłośnik pokoju, kultury, dobrobytu, boleje nad nią, że nie posiadała przemysłu, była „zbiedzona, znędzniała, wyludniona, zdziesiątkowana przez służbę wojokową i t. d.

To „zdziesiątkowanie" jednak miało wówczas pewne dobre strony, o czym p. Askenazy zapomina tak dalece, że mimo wzmianki o „najświetniejszych gwiazdach narodowego natchnienia", gotowibyśmy go podejrzywać, iż nie czytał chyba nawet „Pana Tadeusza". Otóż były w one czasy pono jakieś legjony, złożone z dzielnych żołnierzy, walczących pod wodzą znakomitych generałów. Ci żołnierze i generałowie walczyli wprawdzie w armji napoleońskiej, lecz bądź co bądź na pewnych warunkach, dosyć zachęcających, a walczyli nie zupełnie bezskutecznie, gdyż po „rewizji" sprawy polsko-pruskiej w 1806 r. otrzymali w r. 1807 Księstwo Warszawskie, rzecz też „bądź co bądź dużą, a co najlepsza, mogącą się powiększać, jak tego dowiódł rok 1809 czyli „rewizja" sprawy polsko-austryjackiej.

W 1812 roku zanosiło się jeszcze na trzecią „rewizję" — a choć się ona skończyła pogromem armji napoleońskiej, to jednak ten pogrom połączony był z pewnym wysiłkiem, jednak nad Kremlem płonęła łuna pożaru, jednak „Wielka armja" wciąż jak feniks z popiołów zmartwychwstawała, a w tej armji byli Polacy. Kiedy zaś po ostatecznym pogromie Bonapartego zgromadził się kongres wiedeński, *musiał* traktować sprawę polską jako międzynarodową, gdyż ona poprostu nią faktycznie była, bo, wśród wstrząsającej Europę walki dwuch potęg, polska siła zbrojna była tym, czym p. Dmowski pragnie uczynić Koło polskie w Dumie: języczkiem uwagi. Tylko wówczas każdy z walczących starał się przeciągnąć języczek na swoją stronę i dlatego przyjmował pewne zobowiązania — a dziś niestety, *języczek* sam ofiaruje swoje usługi, bez zastrzeżeń.

Rosja zresztą wcale nie była tak pozbawioną rywala politycznego jak prof. A. twierdzi. Ostateczne zwycięstwo nad Napoleonem odniosła nie ona,lecz, z pomocą pruską, Anglja, o tyle więcej imponująca — że Napoleon w Londynie nie był.

Nie twierdzę, żeby Anglja była specjalnie czułą na nasze potrzeby, ale twierdzę, że gdyby dziś jakakolwiek europejska konferencja była zmuszona zająć się rewizją sprawy polskiej, dałaby nam także rzecz „względnie większą", niż każdy z rządów bezpośrednio interesowanych, gdyż zawsze łatwiej dawać kosztem cudzym niż własnym.

A dziś czy Polska nie jest zdziesiątkowana przez służbę wojskową? Czy powrócili ci wszyscy, co byli w Mandżurji? Czy nie wyludnił się kraj i potym na innej drodze? Wtedy walczyli ci co chcieli, dziś ci co muszą; — oto znowu drobnostka, którą pan profesor przemilczał.

Zapomniał i o tym, że w stosunku do ówczesnych dążeń i nadziei, Królestwo Polskie było zredukowaniem pretensji Polaków i że oni od pierwszej chwili uznali traktat wiedeński jako czwarty rozbiór Polski. Tradycje niepodległości były jeszcze bardzo świeże, a walki napoleońskie nieprzebrzmiałe. Miło to jest mówić sobie o wysokim rozwoju naszej duchowej i ekonomicznej kultury, o wielkiej wartości cywilizacyjnej naszego narodu i na tym opierać swe prawa, widoki, nadzieje—ale stokroć zdrowiej jest spojrzeć prawdzie w oczy i nazywać rzeczy po imieniu: W ciągu tych 90-ciu lat *stosunkowo* nasza kultura obniżyła się bardzo. W r. 1815 nie mieliśmy wielkiego przemysłu — ale nie miała go wówczas i Rosja, a w innych krajach dopiero się rozwijać zaczynał. Szkolnictwo było mało rozwinięte ale *stosunkowo wyżej* niż obecnie i — było nasze. Mieliśmy przecież polskie uniwersytety w Warszawie i w Wilnie, mieliśmy znakomite szkoły Izby edukacyjnej, mieliśmy Krzemieniec i mieliśmy Towarzystwo przyjaciół nauk,—mieliśmy braci Śniadeckich,—mieliśmy na każdym polu ludzi wyższej niż dziś miary: wodzów, mężów stanu, uczonych. Mogliśmy ich mieć w danych warunkach, dla tego mogliśmy stanąć na wysokości położenia, gdy dziś nie możemy.

Później zbogaciliśmy się o całą wielką literaturę narodową, która powstała na obczyźnie, — a z powodów cenzuralnych, nie byłaby mogła powstać w kraju; i ani twórca Dziadów, ani twórca Króla Ducha nie był tyle naiwny, by wierzyć, że tymi książkami można stworzyć rzecz tak dużą jak Królestwo Polskie, gdy nie można było obalić rzeczy tak małej, jak cenzura, — a dziś zdobyć tak maleńkiej, jak zezwolenie na obchód setnej rocznicy urodzin wielkiego poety.

Gdybyśmy jednak doszli do wniosku, że wprawdzie *nie stosunkowo*, lecz *absolutnie* kraj nasz zyskał na kulturalnej wartości, to cóż z tego wynika? Nie *łatwość* zdobycia politycznej wolności — lecz jej *konieczność* jest niezbędnie potrzebna. Naród taki jak Litwini, Białorusini, Katalończycy, Baskowie i t. p. będący tylko etniczną grupą, może poprzestawać na małym, na pewnej mierze równouprawnienia politycznego. Naród kulturalny musi dążyć do stworzenia szerszych, własnych ram politycznych dla swego rozwoju, conajmniej do szerokiej autonomji.

A w końcu owo „spiżowe" słowo „odpowiedzialność". Panie profesorze, nie piszemy bajeczek moralnych dla dzieci i młodzieży i nie potrzebujemy udawać, że każdy dobry uczynek dostanie od historji nagrodę a każdy zły karę. Odpowiedzialność spada na nas za błędy, gdy je popełniamy względem samych siebie, za krzywdy, gdy pokrzywdzony ma siłę do odwetu lub możność dochodzenia swoich praw — a najcięższej

---

Ignacy Mucha.

Z RAPORTEM.

Paweł Borysowicz Bratnikow niespokojnie przechadzał się po kancelarji okręgu medycznego tyłu armji, zajmującej jeden z drewnianych domków w Chabarowsku na bocznej uliczce, zwykle zacisznej, obecnie bardzo ożywionej z powodu przyjazdu lekarzy i interesantów z najodleglejszych krańców państwa.

W kancelarji pracowało dwudziestu pisarzy od dziewiątej zrana do dziesiątej wieczór, ślęcząc nad rozmaitymi „bumagami", które obejmowały sprawy sanitarne tyłu armji. Głównym zadaniem zgromadzonych tu lekarzy było usuwanie zużytego przez choroby i przez armaty „materjału wojennego", do czego specjalnie przeznaczona była, tak zwana „komisja ewakuacyjna". Okręg medyczny obejmował szmat ziemi, o wiele większy od Francji, a wszystkie sprawy sanitarne koncentrowały się w kancelarji okręgu, gdzie samowładnie prawie pracował inspektor okręgowy tyłu armji, rzeczywisty radca tajny Piotr Iwanowicz Szelestow.

Piotr Iwanowicz Szelestow był synem „djaczka" i po skończeniu akademji medyko-chirurgicznej o chłodzie i głodzie. prosił o służbę na kresach. Tu przeszedł wszystkie etapy karjery wojenno-medycznej, począwszy od stanowiska młodszego lekarza pułkowego i wszędzie odznaczał się służbistością, znosił z pokorą i cierpliwie wszystkie kaprysy przełożonych i, ożeniwszy się z utrzymanką wpływowego jenerała, osiągnął nareszcie jedno z najwyższych stanowisk inspektora medycznego okręgu tyłu armji. Na tym stanowisku całą swą działalność przyoblekał w takie formy, jakby starał się usilnie odemścić na podwładnych wszystkie te upokorzenia, których sam doznał w życiu, dążąc do karjery.

Wiedział o tym były lekarz nadetatowy szpitala Obuchowskiego w Petersburgu, a obecnie przykomenderowany do kancelarji okręgowej zręczny, giętki i utalentowany Paweł Borysowicz Bratnikow. Bratnikow należał do tego typu ludzi, których los prześladuje w życiu, a których literatura rosyjska ochrzciła mianem „nieudaczników". Pomimo wszelkich zabiegów czterdziestokilkoletni Paweł Borysowicz nie zdołał wywalczyć sobie praktyki w Petersburgu i po wybuchu wojny dobrowolnie wstąpił do wojska, gdzie na razie jako ochotnik otrzymał względnie wysokie wynagrodzenie, a prócz tego mógł z czasem uzyskać stałą posadę i los na przyszłość ustalić.

Przeznaczony do kancelarji Bratnikow wysługiwał się, jak mógł. Odrabiał wszystkie papiery, które mu polecono i te, które należały do innych. Zbierał wiadomości, potrzebne szefowi, i te, które mogły mu się z czasem przydać. Nie donosił, opowiadał tylko o tym, przypadkowo, jako o czymś, ot tak, usłyszanym. Przed naczelnikiem, wyprostowany jak struna, wychwalał zawsze służbę wojenną i wspominał, że chętnieby pozostał w kancelarji na stałe, o ile jego służba byłaby mile przez szefa widziana.

I oto dziś właśnie ma przejść ogniową próbę składania raportu przed jenerałem.

Paweł Borysowicz Bratnikow już kilkakrotnie układał papiery, z którymi miał za

karze historja nie winę, lecz głupstwo. I dla tego pierwszym obowiązkiem historyka i polityka jest nie straszyć, pochlebiać lub wzruszać — lecz oświecać.

I. M.

Duma i pożyczka.

Pisma rosyjskie, a za nimi i nasze podały wiadomość, że rząd zamierza wkrótce wnieść do Dumy projekt nowej pożyczki zagranicznej 450 miljonów rubli, z których dwie trzecie ma pójść na konwersję krótkoterminowych zobowiązań, płatnych za kilka miesięcy.

Czy rzeczywiście projekt tej nowej pożyczki wejdzie pod obrady Dumy, śmiemy wątpić, prawa bowiem z września 1905 r. i marca 1906 § 31 i § 33 wyraźnie mówią, że do kompetencji Dumy należy budżet wraz z preliminarzami ministerjum i zarządów, jak również sprawozdania kontroli państwowej i wydatki w preliminarzach nieprzewidziane.

Dalej nie podlegają kompetencji Dumy: § 4 Kredyty na wydatki ministerjum Dworu, wraz z przynależnymi doń instytucjami.

§ 6 Nie podlegają zmianom spłaty długów państwowych i zobowiązania, jakie państwo na siebie przyjęło.

§ 8 Nie mogą być wykluczone lub zmienione takie dochody i wydatki, które wynikają z praw istniejących i najwyższych rozkazów. Wreszcie w razie nieuchwalenia nowego budżetu działa budżet z roku poprzedniego.

Zatem widzimy, że kompetencja Dumy jest ściśle określoną i gdy zważymy, że w ostatnim dziesięcioleciu żadna pożyczka nie figuruje pod swym właściwym tytułem, a nazywa się poprostu swobodną gotówką kasową (swobodnaja nalicznost' gosudarstwiennago kaznaczejstwa) i jako taka nie podlega kontroli Dumy, to dojdziemy do jedynego wniosku, że nasza instytucja prawodawcza ma prawo uchwalać podatki t. j. takie same prerogatywy, jakie Ludwik XVIII nadał francuskiej izbie deputowanych w r. 1815.

We Francji w przeciągu następnych lat piętnastu do 1830 roku przywileje poselskie zostały ogromnie zwiększone, wówczas powstał § 115, w którym wyraźnie powiedziano, że *wszystkie* wydatki i *wszystkie* dochody muszą być wnoszone do budżetu...

W konstytucjach: austryjackiej, belgijskiej, włoskiej, hiszpańskiej i portugalskiej istnieją paragrafy niemal jednobrzmiące, że rząd musi być upoważniony przez ciała prawodawcze do zaciągania każdej pożyczki państwowej. Nawet w pruskiej konstytucji, która, jak wiemy, wcale nie może służyć za wzór, § 113 brzmi: „każda pożyczka musi być drogą prawodawczą uchwalona".

U nas rzecz się ma zupełnie odwrotnie i jest to zrozumiałym, rząd bowiem nie ma zamiaru wyzbywać się swych prerogatyw, a mając za sobą prawo zaciągania pożyczek na własną rękę, przy panującym systemie podatków pośrednich, jest on w możności ignorowania Dumy, na wypadek, gdyby nie uchwaliła ona budżetu.

Co do tej ewentualności, to trzecia Duma nie nastręcza nawet cienia obawy i przeciw zamierzonej pożyczce oponować nie będzie. Gorzej jest, że na Bałkanach gromadzą się chmury i w obawie grzmotów lękliwi kapitaliści mocno sznurują swe sakwy—rozwiąże je chyba nadzieja zwiększonych procentów i gwarancji.

P. S. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że projekt pożyczki przejdzie przez Dumę, jest to tylko akt grzeczności a nie obowiązku.

Arosz.

Sądy doraźne w Pradze i sprawy bośniackie.

We sam dzień uroczysty jubileuszu cesarskiego zainscenizował rząd austryjacki w Czechach znaną dobrze, lecz zawsze jeszcze efektowną sztukę sądów doraźnych.

Ustawa austryjacka o sądach doraźnych, surowszą jest, niż w innych krajach. Sąd następuje bez śledztwa, wyrok zapada po jednym tylko posiedzeniu, a jednogłośny wyrok śmierci zostaje wykonany w przeciągu dwuch godzin. Grozy dodają tej procedurze obowiązkowe akcesorja a więc: szubienica ustawiona na podwórzu więziennym i będący zawsze w pogotowiu kat, ksiądz i lekarz. Dziś akcesorja te robią wrażenie więcej operetkowe, gdyż ani parę lat temu w Czechach, ani przed kilkunastu laty w Galicji podczas rozruchów antiżydowskich nie powieszono ani jednego człowieka. Szubienica działa jak strumień zimnej wody na te niezbyt głęboko idące uczucia. Gdy na Węgrzech ustanowiono podczas rewolucji sądy doraźne, nie pomogła znaczna liczba powieszonych, rewolucja—ale rewolucja prawdziwa—trwała dalej i zwyciężyła też w końcu. W Czechach tym razem chodzi o ogień słomiany; jest to raczej hypertrofia uczuć narodowych po obydwóch stronach. Lecz prowokacje niemieckich burszów jak i ekscesy czeskich prowodyrów ustały odrazu, gdy ujrzano szubienicę i kata.

Zdaje się, że oprócz najradykalniejszych elementów, którymi dowodzi poseł Klofacz, inne stronnictwa czeskie zadowolone są z obrotu, jaki wzięła sprawa. Są to po większej części reprezentanci pracującego mieszczaństwa, które na walkach ulicznych, zamykaniu sklepów, wybijaniu szyb może tylko stracić. Poseł Klofacz zajmuje wogóle dziwne stanowisko. Na zrobiony mu przez pismo chrześcijańsko-społeczne jawny zarzut, że jest ajentem obcych mocarstw, wcale nie reagował, tak jak gdyby ta obelga nie jego dotyczyła.

A rola ajenta obcych mocarstw nie należy teraz do najprzyjemniejszych, zwłaszcza odkąd sprawy zagraniczne zaczynają się wyjaśniać. Ugoda z Turkami jest na najlepszej drodze i doprowadzi zdaje się do odszkodowania pieniężnego. Tylko co do kwoty dotychczas nie zapadła decyzja. Turcja żąda 200 miljonów franków, Austrja wschodnim targiem ofiaruje 50 miljonów. W miarę jak Austrja zwiększa ofertę, słabnie surowość komitetu młodotureckiego wobec bojkotu, który teraz jest już tylko środkiem do wymuszenia na Austrji jak największej kwoty. Inna rzecz, jak rząd poradzi sobie z zebraniem tej sumy. Parlamenty nie zechcą uznać za coś, co się i tak posiadało, a za chimerę dynastyczną wyłożyć tak wielkie kwoty nie zechcą z pewnością. Lecz Austrja umie sobie radzić w takich wypadkach i w najgorszym razie poręczy za Turcję jakiś dług, którego ta ostatnia nigdy nie zapłaci.

Z Turcją więc zatarg będzie wkrótce załagodzony, natomiast mówią już całkiem głośno o wkroczeniu wojsk austryjackich do Serbji. Mobilizacja w Bośni, jakkolwiek nie gorączkowa, postępuje nader szybko i zebranych już tam jest 120,000 wojska.

Plan Austrji jest następujący: wkroczyć do Serbji a równocześnie odciąć Czarnogórze przez blokadę portu Antivari i obsadzenie od strony Hercogowiny.

Jaki byłby cel kampanji serbskiej, trudno teraz odgadnąć. Odwet za obrazę Austrji? czyli stałe zajęcie Serbji? Co na to powie-

---

chwilę wejść do gabinetu jenerała i ciągle był niezadowolony.

Najtrudniejszym było ułożyć papiery w takim porządku, ażeby ich treść nie wywołała odrazu gniewu jenerała, bo ofiarą padał wtedy zwykle raportujący, chociaż zupełnie nie brał udziału w tych zawiłych „bumagach", przychodzących do centralnej kancelarji z najodleglejszych zaułków. To też każdy z urzędników, drżąc wchodził do gabinetu szefa, a wychodził zgorączkowany, spocony, najczęściej wyłajany, wyśmiany, a już prawdziwym szczęściem było, gdy jenerał był zadowolony z „dokładu". Od tego zadowolenia zależała nieraz przyszłość, karjera.

Paweł Borysowicz dobrze o tym wiedział i starał się zgodnie zresztą z zasadą swego szefa dogodzić „naczalstwu".

Jenerał spóźniał się dziś do kancelarji, gdyż miał jeszcze przedtym dokonać rewizji kilku szpitali. Niepokoiło to bardzo Pawła Borysowicza. W takim szpitalu mógł się inspektor łatwo rozgniewać i przyjść do kancelarji w złym humorze. Paweł Borysowicz kręcił się, rzucał niespokojne spojrzenia przez okno, wybiegał do przedpokoju, żeby ktoś z nowoprzybywających interesantów przypadkowo nie powiesił palta na haku, przeznaczonym dla jeneralskiego palta, i nie wywołał gniewu.

Lecz nie przydało się na nic stróżowanie. Piotr Iwanowicz nagle wyskoczył z za węgła domu, w którym się mieściła kancelarja, ominął przedpokój, wszedł tylnym wejściem, zrzucił szynel z czerwoną jeneralską podszewką na ręce wyprostowanego „deńszczyka" i, nim trzęsący się ze strachu Paweł Borysowicz zdołał się zorjentować, już zabrzmiało w kancelarji zwyczajowe „zdorowo rebiata" i rozległ się okrzyk dwudziestu pisarzy kancelaryjnych „zdrawia żełajem waszemu prewoschoditelstwu".

— „A pan czego tu stoisz, zamiast zająć się robotą? Co? A? Z raportem"? dodał, zauważywszy plikę papierów, w rękach drżącego ze strachu Bratnikowa.—„Kazna" nie za to wam płaci, zebyście papierosy palili i wypatrywali przez okno przelatujące wrony, lecz za robotę. Wracam właśnie ze szpitala, którym i pan czasowo zarządzał. Piękne porządki! Jakiś tam Przywuski, ordynator z cywilnych, a w dodatku jeszcze z Kieleckiej gubernji, zapisywał dla trzydziestu chorych dwadzieścia dwie porcje białego chleba i masę lekarstw. Uważał ich za ciężko chorych i z dobrego serca trwonił z rządowej kasy na biały chleb, co najmniej dwa razy droższy od chleba razowego. I dla kogo ta czułość? Dla tych symulantów?! Nie chce mu się służyć, więc włóczy się z jednego szpitala do drugiego, wymyślając sobie po drodze rozmaite bóle. Napisz pan w tej chwili rozkaz, żeby Przywuskiego za te jego dobre serce przenieść ze szpitala do pułku, a wydane pieniądze na biały chleb odliczyć mu z pensji. To wprost oburzające, jak nam niszczy dyscyplinę wojenną ta „sztatskaja swołocz"!

— A, to panowie nowoprzysłani na służbę wojenną! — zwrócił się nagle do grupy dwudziestu kilku lekarzy, którzy z najodleglejszych okolic państwa zjechali się na kraniec Syberji, w ciągu sześciu dni zmuszeni do porzucenia rodziny i najbliższych. — Nie było się czego śpieszyć! Nie mam tymczasem dla panów zajęcia! Proszę podać swoje nazwiska, adresy i możecie się panowie rozejść, oczekując dalszych rozkazów w domu.

— A pan, panie kolego, dodał z ironicznym naciskiem, zwracając się do jednego z lekarzy, wczoraj na ulicy nie oddał mi należytych honorów!

— Myślałem, Ekscelencjo...

— Myśleć wolno w gimnazjum, w uniwersytecie, wreszcie w poezji, tu, na służ-

działyby inne mocarstwa, Włochy, Rosja? Tu można wysnuć tysiące kombinacji i gubić się w przypuszczeniach, że Austrja o zatargu z Rosją wcale nie myśli, dowiodła tym, że z granicy rosyjskiej odwołano wielką liczbę pułków do Bośni. Znowu naszych wysyłają na najniebezpieczniejsze posterunki. Dlaczego właśnie Galicja, w której aneksja Bośni żadnego echa nie wywołała, ma walczyć w pierwszych szeregach? Czy nie przysługiwałoby to prawo raczej Węgrom i Wszechniemcom?

Interim.

Blok zmartwychwstaje...

Paryż, 3 grudnia.

Gustaw Herve, skazany w roku zeszłym za obrazę armji, udał się do więzienia z lekkim sercem: zostały po nim zwaliska świetnego ongi „bloku" i zapowiedź nieubłaganej „wojny społecznej", która wśród krwawych konwulsji położy kres „ich ojczyźnie"...

Gdy wrócił, zastał „blok" w pełni odrodzenia, proklamowany przez dwa kongresy: w Dijon, gdzie zebrali się radykali, i w Tuluzie, gdzie w tym samym czasie obradowali socjaliści.

Zjednoczenie Radykalne („Parti radical et radical-socialiste") oraz Zjednoczenie Socjalistyczne („Parti socialiste unifié") — pierwsze przez usta Pelletan'a, Sarant i Dumoul'a, drugie rozgłośnym organem Jaurès'a — złożyły hołd polityce reformistycznej, zainicjonowanej z tak świetnym rozmachem przez współdziałanie wszystkich żywiołów lewicy i niesłusznie spotwarzonej przez wrzaskliwą kohortę anarcho-syndykalistów.

Hervé, zawiedziony i markotny, pośpieszył powściągnąć, ukrócić odrodzoną herezję. Lecz próżno uderza w dzwon alarmu, próżno szarpie wodze słabnącego wpływu: sprawa wydaje się być bezpowrotnie straconą. Jego płytkie paradoksy, jego zuchwałe uogólnienia, przyjmowane o wiele krytyczniej, niż w pierwszej fazie sensacji— brzmią dziś bez echa. Niedawno, w Tivoli-Vaux-Hall, gdzie wobec ośmiotysięcznego tłumu Jaurès zdawał sprawę z kongresu w Tuluzie — Herve usiłował znów porwać tłumy apologją ślepej siły, przeciwstawionej metodzie praktycznego rozumu.

— Siła — wołał słynny trybun—jest jak akuszerka: ułatwia trudny poród nowego ustroju!

— Niech jeno zanadto go nie przyspiesza — odparł Jaurès — bo wówczas nastąpi poronienie...

Grzmot oklasków świadczył, że go zrozumiano.

* * *

Jako tradycja klasycznych metod rewolucyjnych ustępuje we Francji miejsca — od lat 12 — nowej metodzie postępowej, urobionej mozolną pracą i gorzkim doświadczeniem. *Herveizm* był zjawiskiem epizodycznym: przesunął się po wierzchu, wzburzywszy krainę *frazesów*, nienaruszając krainy *treści*. Radykalizm francuski dowiódł swego rozumu, traktując go we właściwy, obojętny sposób i pozostając wiernym zasadzie „bloku", pomimo podszeptów i zachęt prawicy, natomiast socjaliści, w okresie 1905 — 1908 r. dali się porwać tyradom rewolucyjnym i jęli współzawodniczyć z zawodowymi gębaczami anarchji. Stronnictwo radykalne przetrwało tedy opłakaną dywersję swych sojuszników, nie dając posłuchu złym podszeptom i patrząc obojętnie na wybryki Powszechnego Związku Pracy, uwieńczone krwawym dniem w Villeneuve-Saint-Georges. I dobrze uczyniło, ufając dojrzałości ludu francuskiego i niezmożonej sile swego hasła, które ostatnio, w Dijon, wywołało grzmot oklasków: *Le parti radical ne veut connaitre ni ennemis a gauche, ni amis à droite!*

To też na jego głowę zwaliła się wściekłość zawiedzionej nadziei tych, co bądź z prawej, bądź z lewej strony zabiegali o puściznę „bloku"... I gdy ze szpalt wytwornego *Gaulois* i *Journal des Débats* sączył się jad dystyngowanego gniewu—*La guerre Socia e* otwiera upust soczystym i dobranym wymysłom. „Stronnictwo socjalistyczne — ogłasza swym wiernym Gustaw Herve — które ongi wzięło rozbrat z parlamentaryzmem, dziś wraca do swych wymiocin (*sic*)... Lud rewolucyjny nie powinien zostawać dłużej pod egidą tego ohydnego stronnictwa, które cuchnie już ministerjalizmem (*qui pue gouvernement a plein nez*)...

Ten wybuch złego humoru jest zupełnie zrozumiały, zważywszy, że bezpośrednim skutkiem nowego zwrotu Zjednoczenia Socjalistycznego będzie w pierwszym rzędzie *entente* z „Partją socjalistów niezależnych" (*Parti socialiste independant*), dawniej: *Parti socialiste Français*), która liczy w swych szeregach Brianda, Viviani'ego, Millerand'a i liczy w Izbie 26 posłów; następnie zaś — w przededniu wyborów 1910 r. — zmierza niechybnie do dawnego sojuszu z radykalizmem, który ze swej strony nigdy się odeń nie uchylał.

Wskrzeszenie „bloku" będzie zupełnym upadkiem herweizmu i powrotem do dawnego *współdziałania*, które nadało Rzeczypospolitej w r. 1899-ym, po 30 latach jałowych utarczek, rozpęd tak potężny i płodny, że wszystkie gęsi kapitolińskie od Madrytu do Niemna zawrzasły zgodnym chórem, że Francja pędzi naoślep ku otchłani...

* * *

Blok spoczywa na podwójnym fundamencie: *wiedzy* i *doświadczenia*.

Wiedza społeczna wypływa sama przez się z urządzeń demokratycznych, które są nieocenioną szkołą dla narodu, umiejącego z nich korzystać; doświadczenie ukazuje w mrocznej perspektywie przebytych wstrząśnień przestrogę: jak *nie należy* robić rewolucji. Dyktuje ono zarówno radykałom jak i socjalistom wspólną nieufność wobec środków gwałtownych, po których następuje nieunikniona reakcja. Jedni i drudzy pojmują prawo biosocjologiczne, które sprawia, że po rewolucji angielskiej widziano dyktaturę Kromwela, a Dyrektorjat i Cesarstwo po terrorze Jakobinów.

Dzisiejszy radykalizm wie, dlaczego rok 1830 zrodził monarchję Ludwika Filipa, a rok 1848 spowodował klerykalne prawo Falloux i II-gie Cesarstwo; socjalista francuski zdaje sobie również sprawę, dlaczego, po wybrykach 1871-go roku, Rzeczpospolita została uchwalona większością *jednego* głosu w Izbie tak nastrojonej, że jedynie tylko III Duma rosyjska z dyszkantem Puryszkiewicza i falcetem Kielepowskich tworzy z nią akord stosowny...

(D. n.) *Leon Gorecki.*

---

bie wojennej, należy słuchać, nie myśleć. Myślałem?! I cóż pan tu wymyślisz? Tu na służbie wojennej za pana pomyśleli, a panu — słuchać! Tu, do myślenia mają wyższych rangą trochę, a nie takiego, jak pan. Wot wam gospoda! Z zapasu armji, nie posiadający żadnej rangi lekariszka — i myślał!

— Przepraszam, Ekscelencjo, ja nie znałem Ekscelencji, nie mogłem przeto Was przywitać...

— Co? A — nie znałem. Przepraszam, panie kolego, żem mu się nie przedstawił. A rangę Pan widziałeś? epolety, podszewke szynelu? Co? Znam ja to wasze nowomodne rozumowanie, wolnodumstwo! Nie znałem?! A nie widziałeś pan, że jenerał idzie?! A nie wiesz, że każdemu jenerałowi należy się oddać honory wojskowe?! A gdyby nawet nie jenerał, to zawsze lepiej z takim przesolić, niż nie dosolić. Ot, i jak pan jesteś ubrany? Spodnie na wierzch a nie w cholewach? I to jest wojenna dyscyplina?! No i wygrywaj tu wojnę z Japonją przy takiej dyscyplinie!

— Ja, Ekscelencjo!...

— Dosyć! Milczeć! Ja z was wypędzę to wolnodumstwo. Pańska odpowiedź jest jedna: „Winowat! Wasze prewoschoditelstwo". Powtórz, pan! No!

— Winowat, Wasze prewoschoditelstwo!

— No, tak! — dodał, gdy zawstydzony lekarz powtarzał przyznanie się do winy.— A teraz idź pan na odwach, na 8 dni. To pana nauczy. Będziesz mi pan wdzięczny, że się nie złapiesz na czymś poważniejszym i pod sąd wojenny nie pójdziesz. No, idź pan! Panowie możecie się rozejść!—zwrócił się do grupy lekarzy, którzy zmęczeni po kilkotygodniowej podróży, oszołomieni i wystraszeni, zaraz na wstępie swej służby wojennej spotkali się z tak miłym powitaniem

Jenerał chrząknął i, wchodząc do gabinetu, rzekł sucho do Pawła Borysowicza — „nu, teper raport"!

Bratnikow drżący i zzieleniały wsunął się do pokoju i położył plikę papierów na biurku, przy którym zasiadł jenerał. W gabinecie nie było umyślnie drugiego krzesła. Paweł Borysowicz stał, wyprostowany jak struna i, doczekawszy się skinienia szefa, zaczął odczytywać papiery głosem monotonnym:

„Komisja lekarska 1-go szpitala polowego spaskiego po zbadaniu chorych oficerów postanowiła:

Kapitana 11-go wschodnio-syberyjskiego pułku Iwanowa, z powodu poważnych zmian w nerkach i w sercu uwolnić od służby na rok jeden: podpułkownika Czausowa z pułku ingiermanlandskiego z powodu ostatnich stadjów gruźlicy zupełnie; sztabskapitana Lewickiego, uczestnika 8 bitew i ranionego dwa razy pod Laojanem na wylot w płuca uwolnić z powodu nerwicy serca zupełnie, pozostałych zaś w liczbie 5 oficerów skierować z powrotem do pułku. Jenerał zmarszczył brwi. Bratnikow przerwał czytanie, oczekując na rezolucję.

— A, znowu ci zapasowi lekarze. Im to nic nie szkodzi, więc, dalej go, szafują tą litością. A służba wojenna nie zna litości. Człowieka wyrzucają dopiero wtedy, gdy jak z cytryny wycisną cały sok i pozostanie tylko taka, jak u mnie, ziemista skórka. Konia prędzej pożałują, bo kosztowny, trzeba kupić — o człowieka łatwiej. Napisz pan następującą rezolucję: „Kapitana Iwanowa zgodnie z orzeczeniem komisji, jako chorego na nerki, należałoby wysłać do Kairu na rok, lecz ponieważ podróż z krańców Syberji do Egiptu i z powrotem zajęłaby najmniej pół roku, więc zostałoby za mało czasu na kurację, wobec czego kapitana Iwanowa pozostawić w szpitalu na dyjecie mlecznej. Podpułkownika Czausowa nie zwalniać ze służby, gdyż zgodnie z orzeczeniem komisji powinien wkrótce umrzeć na suchoty, a wszystko jedno, na którym cmentarzu człeka pochowają, więc poco zwiększać rządowi koszty przejazdu; co do kapitana Lewickiego, chorego jakoby na nerwicę serca, to takiego odesłać jak najprędzej do pułku, gdyż nerwice rozwijają się od bezczynnego przebywania w szpitalu i zanikają, gdy o nich myśleć niema czasu".

Bratnikow napisał rezolucją i dał do podpisu, patrząc ze strachem na swego szefa.

(d. n)

Walka o niepodległość Bułgarji.

(Podług Leshafta).

(Dokończenie).

Teraz parę słów o armji urzędniczej. Wobec nader słabej kultury, wszystkie wakansy od stójkowego do ministra włącznie zajęli ludzie z elementarnym wykształceniem. Według danych za rok 1896, z ogólnej liczby 20509 urzędników, 44,6% było poprzednio robotnikami i rzemieślnikami, 30,6% było uczniami i studentami, 6,9% ludzi swobodnych profesji, 11,9% byli kupcami i 6% pisarzami gminnymi. *Dwaj urzędnicy* i 846 niższych funkcjonarjuszy—analfabeci. Z pośród biurokracji $^2/_3$ nie odznacza się zbyt wielkim wykształceniem, $^1/_3$ stanowi sam kwiat bułgarskiej inteligiencji: ludowi nauczyciele, adwokaci, doktorzy, artyści, literaci, studenci. Jeżeli dodamy do klasy urzędników niższych funkcjonarjuszów i armję czynną (37500), to ogólna liczba ludzi żyjących kosztem państwa wyniesie 92596 ludzi, innymi słowami, na tysiąc pracowników 68 przypada na urzędników i żołnierzy. Cyfry mówią za siebie i zbytecznie ich komentować.

Przedtym już zastrzegliśmy, że, wskutek kryzysu ekonomicznego, nie wszyscy znaleźli pole do pracy. Pozostała jeszcze pewna rezerwa ludzi bez określonego zajęcia. Na nich zwrócili uwagę różni przywódcy partyjni i z ich usług korzystają przy każdej walce wyborczej.

Pierwszym księciem samodzielnej Bułgarji był Aleksander Battenberg. Od chwili wstąpienia na tron bułgarski nie zadawalnia go demokratyczna konstytucja i nosi się on z zamiarem jej obalenia. Po uprzednim porozumieniu się z Rosją w r. 1881 żąda on dla siebie na lat 7 nadzwyczajnych pełnomocnictw. Zręcznie prowadzona agitacja tworzy sztuczną większość konserwatywną w parlamencie, która uchwala żądania księcia. Państwowy przewrót tamuje w samym zaląźku normalny rozwój państwa i znów wprowadza doń fermenty polityczne. Rozpoczyna się walka dwuch partji konstytucjonalistów ze zwolennikami autokratycznych rządów księcia. Na czele pierwszych stał Pet'ko Karawełow, na czele drugich Stoiłow.

Era „nadzwyczajnych pełnomocnictw" była niedługowieczną. Konserwatyści, po dojściu do władzy i po złamaniu konstytucji, nie stali się bynajmniej panami położenia. Żeby odegrać jakąś rolę w państwie, byli przedewszystkim zanadto nieliczni i zbyt niepopularni wśród ludu, który świeżo wywalczył niepodległość i swobodę i który bynajmniej nie chciał pozbawiać się tej swobody na rzecz nielicznych wybrańców, powtóre u nich nie było z góry ukartowanego programu stronnictwa, jeżeli nie liczyć za taki żądania izby wyższej. Rządzić bez programu i bez poparcia okazało się niemożliwym i książę i konserwatyści zmuszeni byli pójść na kompromis. Kompromis został przyjęty przez prawe skrzydło obozu liberalnego z Cankowem na czele. Zawarcie tego kompromisu wywołało głównie zachowanie się rosyjskich gienerałów Sobolewa i Kaulbarsa, którzy, popierając stronnictwo konserwatywne, zapomocą niego rządzili w Bułgarji. Obca ta opieka ciążyła księciu i zmusiła go szukać poparcia u narodu. By usunąć tę opiekę książę decyduje się wznowić zawieszoną konstytucję. Gienerałowie rosyjscy poczuli się tym do żywa urażeni i odjechali do Rosji. Stosunki pomiędzy Rosją a Bułgarją zostały naprężone. W tym samym czasie odbywa się przewrót rumelijski. We Wschodniej Rumelji oddawna była prowadzona agitacja za przyłączeniem tej prowincji do Bułgarji. W 1885 został dotychczasowy gienerał-gubernator aresztowany i Rumelja proklamuje swe przyłączenie do Bułgarji. Książę znalazł się w trudnej sytuacji — albo zerwać z Rosją,—gdyż ta była przeciwna połączeniu, albo pójść przeciw głosowi ogółu narodu bułgarskiego. Rosja przedtym na kongresie berlińskim popierała stworzenie Wielkiej Bułgarji, myśląc, że będzie miała wyłączny wpływ na politykę nowoutworzonego państwa i że będzie mogła rozporządzać siłami bułgarskimi.

Gdy się jednak nadzieje nie ziściły — zapatrywania rządu rosyjskiego na kwestję połączenia się Rumelji z Bułgarją uległy zmianie.

Książę uległ narodowi. Wtrąciły się obce mocarstwa, pomiędzy innymi Serbja. Serbska armja wkroczyła do Bułgarji, lecz została zwyciężona. Turecki sułtan zawiera układy z Bułgarją, na mocy których mianuje ks. Aleksandra rumelijskim gienerał-gubernatorem. Z takiego obrotu rzeczy zostaje niezadowolona rusofilska partja w kraju, mająca licznych zwolenników wśród wojska i duchowieństwa. Tworzy się spisek przeciw księciu — przez spiskowców zostaje wywiezionym z kraju, wymuszają na nim zrzeczenie się tronu. Rewolucja wywołuje kontrrewolucję—książę wraca z powrotem. Tryumf jednak jego nie długi; położenie jego w kraju ogromnie niepewne. Rosja odmawia swego poparcia. Wobec tego Aleksander zrzeka się powtórnie tronu i wyjeżdża za granicę. Wtedy wysuwa się na widownię polityczną mąż stanu Stambułow, inicjator polityki rusofolskiej, który podczas regiencji wespół z dwoma drugimi obejmuje regiencję. On ustalił międzynarodowe stanowisko Bułgarji i spróbował tego, na co dotychczas nikt w Bułgarji się nie odważył: istnienie Bułgarji bez poparcia Rosji. Wnet po abdykacji Rosja znów wysyła gienerała Kaulbarsa dla urządzenia spraw Bułgarji i poparcia kandydatury na tron książęcy księcia Mingrelskiego, rosyjskiego poddanego, z wstąpieniem którego na tron Rosja miała nadzieję odzyskać utracone wpływy. Stambułow oparł się temu stanowczo i stosunki z Rosją zostały oficjalnie zerwane. Księciem został obranym ks. Ferdynand Koburgski, kandydat popierany przez Austrję. Stambułow i po wstąpieniu na tron Ferdynanda przez lat 10 stał u steru państwa i rządził nim autokratycznie. Gospodarka bez kontroli i krytyki połączona z terrorem, którego się imał w walce ze wszystkimi, którzy sprzeciwiali się woli wszechwładnego ministra, znużyła nakoniec naród. Zaczęto spiskować przeciw Stambułowowi—gdyż na drodze legalnej bano się z nim walczyć. To wywołało z jego strony jeszcze większe represje, które jednak nie mogły stłumić rosnącego wciąż niezadowolenia ludu. I księciu zbrzydła rola malowanej lalki w rękach Stambułowa, I on bardzo umiejętnie i sprytnie doprowadził sprawę do tego, że Stambułow zażądał dymisji. Dymisja ta wbrew oczekiwaniom Stambułowa została przyjętą. Lecz Stambułow nawet bez władzy wydawał się dla wielu zbyt niebezpiecznym i w następnym roku był uczyniony zamach na życie Stambułowa i ostatni tragicznie zakończył swe życie.

Dużo zła uczynił Bułgarji Stambułow — na swej drodze łamał wszelką opozycję, utożsamiał osobistych wrogów z wrogami i zdrajcami ojczyzny, lecz epoka jego rządów miała i dobroczynne znaczenie: zwolnił Bułgarję od wpływów obcych mocarstw i utrwalił jej polityczne znaczenie.

W ostatnich tygodniach byliśmy świadkami epilogu walki o niepodległość. Książę Koburgski zrzucił z Bułgarji ostatni cień jarzma tureckiego i przyłączył Wschodnią Rumelję. Ziściły się marzenia tych rewolucyjnych patryjotów, którzy mienie i życie poświęcili tej ukochanej przez się idei.

Żabowicz.

Zebranie dyskusyjne
Zjednoczenia Postępowego.

(Dokończenie.)

P. Henryk Konic powiedział, co następuje: „Wiadomości i szczegóły, zakomunikowane przez referentów oraz przez p. Łypacewicza, są niewątpliwie interesujące, lecz nas na zebraniu stronnictwa politycznego musi przedewszystkiem zaciekawiać polityczna strona przedmiotu. Myśmy powinni zdać sobie sprawę z tego, jak, zdaniem postępowców polskich, należy się zapatrywać na sprawę aneksji Bośni i Hercegowiny z *politycznego* punktu widzenia t. j. jakie Polacy zachować winni stanowisko w stosunku do sprawy, podniesionej w Austrji, sprawy zajmującej opinję publiczną Rosji, a nawet mogącej się znaleść na porządku dziennym w Dumie. Uprzednio mówca pragnie uzupełnić niektóre szczegóły, przytoczone przez d-ra Białobrzeskiego, o ile się one tyczą kongresu berlińskiego i dziejów poprzedzających jego zwołanie.

Owóż istotnie układ reichsztadzki stanowi podstawę, rzekomo, prawną do zajęcia Bośni i Hercegowiny przez Austrję, bo już wówczas Rosja na to się godziła, a to wzamian za zachowanie przez Austrję neutralności w razie zamierzonej już wtedy wojny wschodniej.

W następstwie, po zawarciu pokoju w St. Stefano, Rosja wprost proponowała Austrji już nie okupację, lecz aneksję obu prowincji. Na samym kongresie propozycja zajęcia Bośni i Hercogowiny wyszła z ust Beaconsfielda, a Gorczakow wprost powiedział, że zajęcie obu prowincji przez Austrję wchodzi w zakres widoków polityki rosyjskiej.

Turcja wahała się z podpisaniem traktatu, lecz ostatecznie w ostatnim dniu kongresu 13 lipca (nie 15) 1878 została zjednana dla traktatu przez tajną deklarację Austrji, która oświadczyła, że okupacja będzie czasową, oraz że jej szczegóły omówione zostają w osobnej konwencji austro-tureckiej. Traktat berliński ogólnie mówi o okupacji, bez żadnych szczegółów, a konwencja zawarta w dniu 31 kwietnia 1879 r. (już po wkroczeniu wojsk austryjackich), wbrew umowie tajnej, o tymczasowości okupacji nic nie wspomina, a i wogóle żadnych warunków administrowania obu prowincjami przez Austrję nie zawiera.

To też Austrja urządziła prowincje po swojemu, uczyniła z nich część składową państwa austryjackiego i w niczym nie uszanowała zwierzchniczych praw sułtana. Przeciwnie wprowadziła tam ogólną powinność wojskową, na modłę austryjacką, a pułki bośniacko-hercogowińskie stały się faktycznie częścią armji austro-węgierskiej.

Z przytoczonych szczegółów podnieść należy stosunek Rosji do Austrji w sprawie obu prowincji. Poucza on, że Rosja przyjęła tu pewne zobowiązania, które niewątpliwie swój wpływ wywierają w dobie dzisiejszej i oddziaływać muszą na jej obecne zachowanie się.

Lecz przechodząc do samej kwestji politycznej, musimy sobie zadać pytanie, co uczynić należy wobec dokonanego przez Austrję faktu? Niepodobna zaprzeczyć, że Austrja od samego początku zachowywała się, jak właścicielka prowincji i że przez lat 30 nikt jej praw pod tym względem nie kwestjonował. Jeśli tedy usuniemy z naszych rozumowań kwestję nowej konferencji europejskiej, bo ta, gdyby stanąć chciała na gruncie „mniemanego, t. j. nieistniejącego prawa międzynarodowego, musiałaby chyba Bośnię i Hercogowinę zwrócić Turcji, to trzeba podkreślić, że dla nas postępowców najważniejszą jest sprawą, aby obie zaanektowane prowincje posiąść mogły najszerszą *autonomję*. W taki tylko sposób mogą być możliwie zagwarantowane prawa *ludności*, o którą nam przedewszystkim cho-

dzie powinno. Musimy pamiętać, że dzisiejsza polityczna myśl postępowa w całej Europie nadaje autonomji znaczenie najdonioślejsze, bo słusznie upatruje w niej szczebel do federacji *narodów*, t. j. do takiego ustroju, który najlepiej zabezpiecza samoistne prawa każdej narodowości w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu.

Dlatego też Polacy, czy w Austrji, czy w Rosji zwrócić muszą baczną uwagę na tę najkardynalniejszą stronę sprawy i domagać się, aby, przy kwestji aneksji obu prowincji, ta sprawa przedewszystkim rozwiązanie swe znalazła. A pod tym względem nie starczy, jak niektórzy mówcy twierdzili, oświadczenie się przeciwko zaborowi obu prowincji przez Austrję. Będzie to platoniczne oświadczenie, co więcej, ryzykowne, bo broniące istoty traktatów międzynarodowych, które chyba na szacunek Polaków wogóle zasługiwać nie mogą.

Polacy przy całej tej sprawie muszą zaznaczyć swe stanowisko autonomiczne i tylko, opierając się na nim, rozważyć sprawę aneksji.

Lecz poza tym ma poruszona sprawa znaczenie, ze względu na kierunek neoslawizmu, tak niesłusznie i nieopatrznie zwalczany przez niektórych postępowców u nas. Właśnie domaganie się zastrzeżenia praw autonomicznych Bośni i Hercegowiny będzie wcieleniem w czyn zasad przyjętych na konferencji w Pradze. A zajmując takie stanowisko powinni Polacy wyraźnie wobec postępowców rosyjskich usprawiedliwić swój punkt widzenia. Jest to niezbędne nietylko ze względu na sprawę, obchodzącą blisko nas, jako najliczniejszy, po rosyjskim, naród słowiański, lecz i dlatego, że przedstawiciele opozycji rosyjskiej, nasi naturalni sprzymierzeńcy, zachowują w tej kwestji stanowisko wyraźnie państwowe, jakiejś nienawiści w stosunku do Austrji. Należy im przypomnieć, że Słowianom wogóle powinno iść nie o to, do jakiego państwa należyć ma dana prowincja, lecz w pierwszym rzędzie o to, aby prawa narodów, które ją zamieszkują, były uszanowane całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń oraz wyjątków".

P. Moszczeńska zaznacza, że konieczność nadania Bośni i Hercegowinie autonomji była podawana jako pretekst do aneksji, lecz dotychczas nie była jeszcze bynajmniej poważnie uwzględniana, a wprowadzenie w tych krajach stanów wojennych, sądów polowych, zawieszanie dzienników i aresztowanie ludzi wybitnych jest conajmniej dziwnym wstępem do zapowiedzianych dobrodziejstw. Równie mało realnie przedstawia się marzenie o przekształceniu dualistycznej monarchji na federację lub związek potrójny. Utworzenie wielkiej Serbo-Chorwacji pod berłem Habsburgów wywołałoby wewnętrzny zatarg z Węgrami i jest conajmniej kwestją dość odległej i niepewnej przyszłości, a jeśli czysto formalna — jak mówią — zmiana stosunku Austrji do anektowanych prowincji, już sprowadziła groźne widmo wojny zewnętrznej, to trudno przypuścić, by równocześnie ryzykowano poważne zaostrzenie stosunku z tak potężnym i opornym żywiołem jak Węgry.

Nasze stanowisko, jako Polaków, bynajmniej nie jest łatwe do określenia. Zasadniczo winnibyśmy wstrzymać się od decydowania w sprawach innego narodu nie wiedząc, jakie są jego własne dążenia. W praktyce domagać się będzie można autonomji dla Bośni i Hercegowiny w wiedeńskim parlamencie dopiero, gdy ta kwestja stanie się wewnętrzną austryjacką. W Dumie kwestja autonomji rozstrzyganą nie będzie, a kwestja aneksji — zdaje się — również nie, gdyż sprawy zagraniczne mają być z porządku jej obrad usunięte. Jedna tylko nas blisko obchodząca sprawa winna być przez Polaków poruszona, mianowicie wysyłanie galicyjskich żołnierzy nad granicę serbską. System okupywania zaborów krwią polskich chłopów jest najboleśniejszym dla nas ciosem, i nasi politycy galicyjscy winni przeciw niemu gorąco protestować, tymbardziej, że poniekąd ściągnęli go nas sami przez to, że nie wyrwali Austrji z przymierza z Prusami, które ją do zaborczej polityki popychają.

E. St. Rappaport powiedział co następuje:

„Referat dzisiejszy i dyskusja o sprawach bałkańskich ma rację bytu *na gruncie Zjednoczenia*, o ile rozważać się będzie, jak to już podkreślił p. Konic, *nasze* stanowisko, nasz stosunek do spraw powyższych. I nietylko — jako Polaków wogóle, lecz jako Polaków-postępowców w szczególności.

Z tego stanowiska dyskusja — analiza tym jest cenniejsza, że z konieczności wiąże się z dwoma pierwszorzędnymi zagadnieniami w sferze programu taktycznego Zjednoczenia, z właściwym *demokratycznym* zrozumieniem idei autonomji i neoslawizmu. Nic dziwnego, że hasła te przeważnie błędnie są oceniane w innych obozach politycznych; gorzej jest, że ogół postępowców niedość jasno zdaje sobie sprawę z ważności ich dla własnego stronnictwa. Przedewszystkiem,—„autonomja".

Nie mogę w danej chwili zastanawiać się szczegółowo nad nowoczesnym znaczeniem tego pojęcia. Ograniczam się więc jedynie do uwagi, że hasło autonomji nie jest jedynie naszym hasłem, hasłem Królestwa w l. 1904—7. To podstawa europejskiej myśli demokratycznej (radykalnej) w dziedzinie polityki międzynarodowej,—to zarazem rozwiązanie „kwestji polskiej" nie na gruncie *państwowości odrębnej* (stającej się coraz bardziej *środkiem*, a nie *celem* „samym w sobie"), lecz na gruncie *samoistności kulturalnej* w granicach i w związku z koniecznym w przyszłości przeobrażaniem się współczesnych ustrojów „mocarstwowych" (Federacja pokojowa). Hasło: „naród — to państwo" winno ustąpić i coraz bardziej ustępuje miejsca nowemu demokratycznemu hasłu: *„naród — to społeczeństwo"*.

Z tak rozumianą ideą autonomji-federacji wiąże się ściśle właściwa ocena „neoslawizmu". Stosunek do niej naszych obozów politycznych nie odznacza się zbytkiem krytycyzmu. Jedni upajają się nowym hasłem — „bez zastrzeżeń", drudzy — a jest ich większość — wpadają bezzasadnie w ostateczność przeciwległą, w sceptycyzm krańcowy.

Dla nas Polaków wogóle, a zwłaszcza dla nas Polaków-postępowców w szczególności — ideja neoslawizmu, w obecnych warunkach bytu politycznego naszego narodu, może być i być powinna jednym z ogniw rodzącego się powoli, z trudem dążenia federacyjnego śród ludów cywilizowanych. Nie należy oczekiwać od niej doraźnych *wielkich* korzyści, lecz nie należy wpychać jej *gwałtem* w dawne panslawistyczne ramy dlatego jedynie, że — jak każda nowa ideja — urabia się, umacnia i rozwija powoli, dzięki wysiłkowi jednostek, a wbrew tendencjom i zamierzeniom grup całych.

Początkowo napadano na akcję „nowosłowiańską, jako na zamaskowaną grę ogółu wsteczników, obecnie lekceważy się ją, ponieważ jest polem widzenia i dążeń garści nielicznej, po stronie rosyjskiej przeważnie nawet — postępowej.

Z naszego stanowiska, ze stanowiska właściwej demokratycznej oceny haseł „autonomji" i „neoslawizmu" — winniśmy w kwestji ostatnich wypadków Bałkańskich zajmować się nietyle *wielce sporną* „państwową" stroną sprawy, ile jej stroną polityczno - społeczną i życzyć gorąco wszystkim różnolitym (zwłaszcza pod względem religijnym) demokracjom słowiańskim, zamieszkałym na terytorjum spornym, by „Państwo", któremu sądzone będzie swą władzę nad nimi roztoczyć, pamiętało o zapewnieniu im należnej, gwarantującej istotny rozwój samoistny — Autonomji"!

P. Łypacewicz przemówił co następuje:

Słusznie tu zaznaczone zostało, że na zebraniu stronnictwa politycznego interesować nas powinna głównie polityczna strona kwestji aneksji Bośni i Hercegowiny i stosunek nasz do tej kwestji tak z punktu widzenia idejowego, jak z punktu widzenia interesów naszego narodu. Przedewszystkim należy zaznaczyć, że kwestja ta nie jest kwestją wewnętrzną austryjacką lub austryjacko-turecką, lecz ma ogólno-europejskie znaczenie z tego względu, że jest ona epizodem walki dwuch wielkich potęg o przewagę epizodem walki Anglji w sojuszu z Francją i Rosją przeciwko Niemcom i ich sojusznikom. W walce tej nietylko Bośnia i Hercegowina, ale nawet niezależne państwa Bałkańskie mogą się, według wyrażenia ks. Mikołaja, stać drobną monetą do regulowania rachunków między wielkimi mocarstwami. I z tego powodu niełatwo dziś powiedzieć, w jaki sposób zostanie rozwiązana kwestja Bośni i Hercegowiny i jak doraźnie odbije się ten lub inny sposób rozwiązania na położeniu Polaków bądź w Niemczech i w Austrji bądź w Rosji. Wobec tego Polakom w tej kwestji nie wolno zajmować stanowiska uwarunkowanego chwilowymi wypadkami, lecz należy tym mocniej stać na zasadniczym stanowisku zgodnym z nowoczesnymi ideałami demokratycznymi, jako najpewniejszej busoli dla naszego narodu.

Przedewszystkim nie wolno nam z tego stanowiska solidaryzować się z zaborem, czy to świeżym austryjackim, czy dawniejszym tureckim, czy też przyszłym serbskim. Musimy stać na gruncie praw każdego narodu do samoistnego bytu i rozwoju. Musimy wyjść z zasady, że każdy naród ma prawo mieć punkt ciężkości swego istnienia w sobie, a nie poza sobą.

Z tego stanowiska trudno się zgodzić ze zdaniem p. Konica, że powinniśmy się „domagać zastrzeżenia praw autonomicznych dla Bośni i Hercegowiny", że nam powinno być obojętnym, do jakiego państwa należyć będą te prowincje i z poglądem p. Rappaporta, „że autonomja, to podstawa europejskiej myśli demokratycznej (radykalnej) w dziedzinie polityki międzynarodowej".

Niewątpliwie słusznie twierdzi p. Rappaport, że odrębne państwo musi być uważane nie za cel, lecz za środek i że naród nawet po utracie niepodległości politycznej w pewnych warunkach może osiągnąć warunki bytu często nie gorsze niż we własnym państwie, lecz od tego daleko do twierdzenia, że autonomja, to podstawowe hasło demokracji radykalnej w dziedzinie polityki międzynarodowej! Wątpliwym jest wielce, czy opinja demokracji europejskiej uznałaby fakt ogłoszenia niepodległości bułgarskiej za czyn niedemokratyczny i czy zaleciłaby Bułgarji raczej dążenie do autonomji młodotureckiej. Czy uznałaby za jedynie zgodne z jej zasadami nadanie Holandji lub Szwajcarji praw autonomicznej prowincji niemieckiej.

Autonomja może być hasłem myśli europejskiej demokratycznej jako zasada dla narodów tak drobnych lub mało kulturalnych, że własnej państwowości utworzyćby nie mogły lub też jako minimum dla narodów podbitych, znajdujących się w tak ciężkich warunkach politycznych, że innej formy bytu zdobyć nie są w stanie. Prawdziwie demokratycznym hasłem w dziedzinie międzynarodowej normalnie jest niepodległość narodu lub jej równoważnik federacja na zasadzie wolni z wolnymi, równi z równymi. Z tego stanowiska nie możemy uznać za normalne ćwiertowanie narodu pomiędzy różne państwa, „byle państwo, któremu sądzone będzie swą władzę roztoczyć nad takimi prowincjami... pamiętało o zapewnieniu im należnej autonomji". Żądając autonomji austryjackiej dla Bośni Hercegowiny, możemy się znaleźć w takim położeniu, że wynik wojny lub przyszła konferencja państw, da Serbo Chorwatom więcej niż nasza myśl demokratyczna...

Jeżeli chcemy już wyrazić konkretne życzenie, to nie uważajmy związanego z naszymi warunkami dążenia do autonomji Królestwa Polskiego za ostatni wyraz myśli demokratycznej europejskiej, oświadczyć się raczej należało co najmniej za federacją w Austrji w myśl wniosku sejmowego z 1868 r. niezapomnianego wodza ówczesnej demokracji polskiej Franciszka Smolki.

Nie wydaje mi się również, ażeby żądanie autonomji dla Bośni i Hercegowiny wynikało z zasad przyjętych na konferencji Praskiej r. b. Na konferencji w Pradze przyjęto zasa

dę wolności i równości narodów (nie prowincji) słowiańskich.

Nie mogę tu mówić dłużej o „neoslawizmie"; zaznaczę jedynie, że neoslawizm rosyjski z wyjątkiem bardzo nielicznych jednostek, nawet wśród postępowców, przybrał niestety w danej kwestji charakter mocno przypominający dawny panslawizm na usługach imperjalizmu rosyjskiego.

ECHA PRAWDY.

Wyjątkowe zjawisko wyjątkowego stanu.

Istniały w Moskwie za czasów stanu wyjątkowego, dwie wzajemnie zwalczające się klasy ludzi: bandyci i tajna policja. Antagonizm tych dwuch klas był jednak — jak się okazało — czysto teoretyczny, że tak powiem doktrynerski, życie wykazało bowiem, że przy dobrej woli nie trudno będzie pogodzić sprzeczne interesy i wytworzyć pewnego rodzaju „entente cordiale" „solidaryzm". Bandyci i opryszki mieli większe dochody, policja większą władzę. Dla wyrównania interesów wystarczyło, by pierwsi ustąpili części swoich dochodów, drudzy części swej władzy i zapanowała sielankowa harmonja, jednak nie bez tragicznych rysów dla spokojnych mieszkańców miasta. „Moskwa i jej okolica — jak pisze *Riecz* — stały się widownią najśmielszych napadów bandyckich. Agenci wydziału śledczego bardzo prędko przeszli do roli opiekunów, do roli czynnych aktorów w rozbojach i nawet organizowali sami znaczniejsze ekspropjopriacje".

Znalazły się i mniej ryzykowne spekulacje. Domy gry, domy schadzek dawały doskonałe dochody, słowem interes rozwijał się bujnie, ku obopólnemu zadowoleniu zjednoczonych przeciwników, dobrze — jak się zdawało zabezpieczonych od nieszczęśliwych wypadków, gdyż coraz wyższe naczalstwo wciągano do współki, a niższe czyny, np. szeregowców policji, dopuszczano do udziału w zyskach zupełnie w myśl zasad reformizmu społecznego.

Zaszedł jednak nieoczekiwany wypadek skutkiem lekkomyślnego przeoczenia. Tajemnice policji moskiewskiej nieznane były policji riazeńskiej, gdy więc ta ostatnia w następstwie jakiegoś rabunku zmuszona została rozciągnąć sieć swych wywiadów i na Moskwę, przedstawiciel jej odkrył mieszkanie konspiracyjne bandytów w domowym ognisku tajnego agenta policji, pana Ł. Po nitce do kłębka dotarto aż do naczelnika tajnej policji, policmajstra i samego wreszcie generała Reinbota,jako istotnych kierowników policyjno - złodziejskiego trustu. Śmiałek, ktory się zapuścił do tego mateczn:ka przypłacił to na razie utratą posady, lecz z wolnego od zajęć służbowych czasu skorzystał dla zawiadomienia wyższej władzy w Petersburgu. Stąd wynikła rewizja senatorska i ujawnienie kapitalnie pomyślnego lecz nieszczęśliwie zwichniętego przedsięwzięcia. Pisma rosyjskie stawiają z tej okazji pytanie: co się dzieje w innych miastach? — zapominają, że w Moskwie istniał stan wyjątkowy, a zatym wszystko tam musiało być *wyjątkowe*.

Bałamuctwa profesora Lutosławskiego.

Nie wiadomo nad kim się bardziej litować: czy nad publicznością z takim namaszczeniem słuchającą prelegienta, czy nad nim samym.

Tytuł odczytu p. Lutosławskiego („Intelektualizm a religja") wzbudził wielkie zainteresowanie. A pan profesor miał na celu powiedzieć tłumowi następującą „wielką prawdę": „walka wiary i wiedzy nie jest *wcale* konieczną; trzeba szanować naukę, bo przynosi ludzkości korzyści i trzeba szanować religję, bo także przynosi ludzkości korzyści" (dosłownie). Nie byłby p. Lutosławski człowiekiem szkodliwym tego rodzaju prawdy wygłaszając, gdyby nie ten okropny chaos, panujący w jego profesorskiej głowie i mgławica pojęć, z której nie powstają bynajmniej nowe światy, lecz kompletny zamęt w umysłach biednych, bezkrytycznych słuchaczów.

Specjalista mógłby na odczycie pana Lutosławskiego prowadzić ciekawe studja nad zjawiskami psychologji. Oto próbki, przytoczone dosłownie: „Nauka może wprawdzie twierdzić, ale przeczyć w imieniu nauki niczemu nie można". „Od Kościoła odpada coraz więcej jednostek myślących, ale to dowodzi, że potęga Kościoła wzrasta". Dziesięć minut potem: „głównym powodem konfliktu pomiędzy wiedzą i wiarą jest ten, że tak jedna jak i druga znajdują się w stanie upadku". Pięć minut potem — wyliczenie statystycznych danych, dowodzących wzrostu potęgi katolicyzmu t. j. liczby kapłanów we wszystkich katolickich krajach, a ten wzrost „jest najlepszym dowodem wzmagającej się w społeczeństwie potrzeby duszpasterstwa". Dalej taki twór myśli profesorskiej: „potrzeba wiary jest bardzo potrzebną dla rozwoju ludzkości" (znowu cytuje dosłownie). Jeszcze jedno zdanie: „zboczenia klerykalizmu katolickiego są tak jaskrawe dlatego, że katolicyzm jest najdoskonalszą religją ludzkości". Dosyć, nie chcę męczyć czytelnika. Najgorszym jest wmawianie w słuchaczów rzeczy i faktów nieistniejących. Naprzykład: p. Lutosławski zaprzecza wszystkim dotychczasowym statystykom wyznań i twierdzi, że „na kuli ziemskiej najwięcej jest chrześcijan, a mianowicie 500 miljonów, buddystów zaś tylko 120 miljonów" (w rzeczywistości chrześcijan istnieje około 400 miljonów, a buddystów blisko 500 miljonów). Dalej, mówiąc o etyce bez religji, dał jako przykład społeczeństwa z taką etyką — Chiny, a więc bezreligijna etyka byłaby powrotem do Chińszczyzny. To już jest nieszczęśliwy wyładunek kompletnego ignoranta, bo z pośród wszystkich narodów świata właśnie Chiny odznaczają się najjaskrawiej istniejącą tam od tysięcy lat nierozerwalnością etyki i religji. Nietylko przepisy moralne, nietylko prawodawstwo i nawet administracja państwowa, ale całe wogóle psychiczne życie chińskiego społeczeństwa opiera się na religji. Dla wszystkich wyznawców każdej z trzech istniejących w Chinach religji (konfucjanizm, tadizm i buddyzm) religja i etyka są ze sobą nierozerwalnie związane. Więc oddzielenie religji od etyki byłoby właśnie wyzwoleniem się z chińszczyzny.

Ale polemizować z profesorem Lutosławskim, znaczyłoby to traktować go poważniej niż on sam siebie, a zwłaszcza niż on traktuje publiczność, częstując ją humorystycznymi monologami o filozoficznej osnowie. *W.*

LITERATURA I SZTUKA.

Noc listopadowa w teatrze Krakowskim.

Pietyzm z jakim publiczność krakowska oraz Kraków naukowy i literacki odnosi się do dzieł Stanisława Wyspiańskiego wyraził się obecnie. w pierwszą rocznicę jego zgonu. Zapowiedziane na dzień ten (28 listopada) przedstawienie Nocy listopadowej poprzedził szereg odczytów Wilhelma Feldmana i Adama Siedleckiego, na które słuchacze napływali tłumnie. Wszystkie pisma codzienne dały obszerne artykuły zasadnicze o przepięknym dramacie wieszcza. Większość przeto przybyła przygotowana, a skupiony nastrój na sali, o którym świadczyła nietylko natłoczona widownia, nietylko stroje dam i fraki mężczyzn, ale cisza panująca nawet podczas przerw, uprzedzał z góry, iż mamy do czynienia z wypadkiem literackim, a nawet narodowym pierwszorzędnej wagi. Kraków posiada estetyczną ambicję, i przybyli na przedstawienie literaci i dziennikarze z Królestwa stanowili jedną więcej pobudkę, aby przedstawienie teatralne zamienić na uroczystość artystyczno-narodową. Wyczekiwano słowa objawienia. spodziewano się natchnień, które myśl zapłodnią. Dyrekcja p. Solskiego uczyniła też wszystko, co było w jej mocy, azeby dziełu dać odpowiednie ramy: dekoracje prześliczne przenosiły do łazienkowskiego parku i belwederskiego pałacu; na wyspie, gdzie w czasach naszych widzimy najczęściej balet, przebywały cienie i bogi, skromna pracownia Lelewela była istotnym przybytkiem nauki i myśli, do licznych szeregów wojska powołano uniwersytecką młodzież, a ulice starej Warszawy świetnie odtwarzały ramy doniosłej historycznej chwili. Dekorator, reżyser i artyści wykonali swe zadanie po mistrzowsku. Kto wie nawet, czy widz rządzący się raczej wymaganiami uczucia, a nie techniki, nie wolałby mniej wykończenia w szczegółach, a więcej bezpośrednich natchnień. Bo dzień 28 listopada zbiega się z rocznicą walk żywych, które nazawsze pozostaną we wspomnieniach Polaków, a w odtworzeniu pamiętnej nocy muszą oni być zawsze, nietylko idącymi za słowem poety i wskazówkami teatru widzami, ale psychicznymi współaktorami wypadków.

To też jakkolwiek głos mój może być odosobniony, powiem, że Noc listopadowa piękniejszą jest w czytaniu, gdy czytelnik w ciszy niezmąconej dopełnić sobie może filozoficznego tła koncepcji, aniżeli przy świetle kinkietów, gdzie pomimo subtelnych półcieniów świat bogów staje jako współrzędny obok świata ludzi bardzo realnego. Na deskach teatru rozegrywają się obok siebie dwa dramaty: jeden wśród bogów greckich, którzy, służąc ludzkiej sprawie, mają przecież także całą osnowę własnej akcji, drugi zaklęty w tę noc pamiętną, kiedy szamotały się ze sobą dwa duchy: duch wolności i ofiary z duchem zdrady, przemocy, szatańskiej perfidji i podłości. Jedynie wzmożoną potęgą przemawia scena końcowa, scena w której Łukasiński oślepły wyprowadzony z lochu i jako trofeum przykuty do armaty mówi:

Niech wloką, niech wloką,
niech w lochy zakują,
niech sępy żreją me ciało,
by mo tym braciom,
co dzwonią w Warszawie,
zwycięstwo się walki dostało.

A potym klęknąwszy wśród łez i łkań szepce:

O pójdziesz ty kiedyś
mój duchu na gody
za kaźń twą, żywota gorycze.
W tych dzwonach z Warszawy
do ciebie to gońce...
Witaj jutrzenko swobody,
za tobą zbawienia Słońce.

Wyspiański malarz, wielbiciel greckiego świata bogów, zaklina kamienne postacie, zaludniające park i pałace łazienkowskie i oto — ożywają. W chwili nocy pamiętnej, nocy, do której najlepsi w narodzie przywiązywali nadzieje zmartwychwstania i odrodzenia, Pallada staje się natchnieniem

przywódców i gienjuszem ruchu. Zwołuje duchy zwycięstwa: Nike Napoleonidów, ta sama, która staje obok nas, gdy w pałacu Inwalidów schylamy się nad wgłębioną trumną Napoleona, każe powstańcom walczyć „twarzą w twarz", Nike Trojańska, Nike z pod Salaminy, Nike z pod Termopil, Nike z pod Maratonu, to chór zgodny tryumfu. Rozdźwięk smutku i zapowiedź upadku wnosi jedynie Nike z pod Cheronei niosąc wieńce z choin, „róż niema, róże pomarły", ale czyż tego trzeba dla ludzi, co wzrośli w mękach i trudzie. Ci i tak pójdą przez krew.

„Niech giną we chwale zbroi
łza już się w oczach nie łaże".

Dla tych bohaterów, bohaterów naszych z lat 40 ostatnich wystarcza, że jak powiada Kora, córka Demetry, zstępująca w podziemne światy za Hymenem:

Jest inny tamten kraj
Kędy są wiecznotrwałe siły;
Tam wszelki żywot ma swój byt
i czeka, aż dlań błyśnie świt
i czeka, aż dlań [illegible]
śmierć (tych) użyźnia nowe pędy
i życie nowe sieje wszędy

Gdy Zeus przez usta Hermesa w teatrum króla Stanisława, wśród cieniów poległych, niweczy Palladę i zakazuje jej przyjmować udział w ludzkich walkach, opuszcza wojowników natchnienie. Rozpoczyna się właściwie akt drugi listopadowego powstania, któremu świecił „szczęścia błysk przez chwilę". A poeta przez usta Pallady wypowiada znamienne ostrzeżenie:

Nieszczęść dopełnią sami,
gdy krokiem pójdą wstecz!

W pojmowaniu rewolucji 30 roku zgadza się Wyspiański z Mochnackim. Okres ten był mu dobrze znany i ukochany wielce, osnuł na nim „Warszawiankę" i „Lelewela", widział w nim największe piękno dziejów, piękno czystego ofiarnego ducha i czynu. To też dzieje rewolucji z 1830 r., skreślone ręką historyka-poety Mochnackiego, który w chwili zgonu wspominał jeszcze piękno listopadowej nocy, stały się najważniejszą skarbnicą historycznego tworzywa, na którym oparł się poeta. Zgadza się on z Mochnackim nawet w szczegółach, jak np. w pojmowaniu charakterystyki Potockiego, którego duchowi każe czynić spowiedź powszechną z życia i kajać się za zamiary i czyny i żałować, że nie był jednym z tych, którzy go zabili. Za Mochnackim przedstawia szczegóły nocy pamiętnej i w tej jedynej pięknej nocy zamyka akcję swych scen dramatycznych.

Scenami dramatycznymi nazwał bowiem poeta swoją „Noc listopadową", a nie dramatem, do którego wejśćby był musiał cały przebieg rewolucji. A nakreślenie jej takie, iżby dała się odtworzyć w teatrze, a jednocześnie była dziełem piękna, artystyczną skupioną całością, to zadanie poprostu nierozwiązalne, temat dla historji i epopei. Wyspiański wcielił nam w słowa ducha, ożywiającego początki rewolucji, w swej „Nocy" odtworzył główne, działające w niej postacie. Zmartwychwstaje przed nami Chłopicki, gienjalny a chwiejny, tak samo pojęty jak w Warszawiance, Lelewel wzorowy obywatel bez osobistych ambicji, ale i wzorowy syn, i Bronikowski, i Wybicki, i dzielna młódź podchorążych. Bardzo subtelną i historycznie wierną jest charakterystyka W. Księcia Konstantego i zagadkowej a słabej jego żony Joanny, a wreszcie otaczających go szpiegów i dworaków. Postacie te i szczegóły oddane bardzo umiejętnie, zyskują plastyczność i prawdę w przedstawieniu scenicznym. Duch jednak, ten duch jednego z wielkich wodzów narodu, wypowiadającego swoje credo przez usta bohaterów, poza teatrem rozważony być musi. Należą się studja specjalne programowi, który Wyspiański w „Nocy listopadowej" wypowiada i studja te nie dadzą z pewnością długo czekać na siebie.

Teatr dał dzieło piękna, które na długo utrzyma się w repertuarze.

D-r Z. D. G.

Teatr Rozmaitości: „**U wrót królewskich**". Sztuka w 4-ech aktach, Knuta Hamsuna, przekład Z. Wójcickiej. Reżyserował K. Kamiński.

Bez zaprzeczenia, p. Kamiński prowadzi w Teatrze Rozmaitości gospodarkę rabunkową. Przysłowie niemieckie: man muss leben und leben lassen, które poleciłem pamięci głównego reżysera komedji i dramatu, gdym pisał me sprawozdanie z premjery „Djabła", chętnie byłbym powtórzył przy wznowieniu „Bogatego Wujaszka", czy „Pana Damazego". Z czystym sumieniem również przyłączyłbym mój głos do protestów przeciw jałowości repertuaru, gdy Teatr Rozmaitości zaczął nam pokazywać „Paple" i „Słowa honoru" i „Skizów"... Ale nie rozumiem, doprawdy, dlaczego wystawienie sztuki Knuta Homsuna stało się kulminacyjnym punktem oburzenia i zniecierpliwienia prasy codziennej na rządy p. Kamińskiego.

Chwila nie była najodpowiedniejsza do wyładowania kartaczownicy. Nic mnie nie obchodzi, w jaki sposób sztuka Hamsuna dostała się do repertuaru Teatru Krakowskiego w roku pańskim 1900-ym, jakich potrzebowała używać protekcji, by dostąpić zaszczytu figurowania na wczorajszym afiszu, kto zrodził jej tłumaczkę i w której stolicy kichnął Hamsun, gdy się dowiedział, że jego utwór raczył upaść po dwuch przedstawieniach... Wszystkie te szydełkowe plotki mogą posłużyć jedynie do zbagatelizowania sztuki w oczach tych, którzy jej nie znają.

Knut Hamsun, stając u wrót królewskich, nie był tym piekarzem, który, naczywszy się lepić z ciasta bochenki chleba i pękate kajzerki, zapragnąłby nagle tworzyć posągi na obraz i podobieństwo Fidjasza, czy Praksytelesa. Nie jest on nawet owym „tęgim powieściopisarzem", który pewnego poranku postanawia pracować w teatrze, w sztukach teatralnych. Hamsun umiał czuć i mówić rzeczy nowe, rzeczy piękne, rzeczy głębokie, więc może warto posłuchać go, gdy mówi ze sceny, choć na tej scenie nie fikają koziołków, żony nie znajdują mężów w łóżkach swych przyjaciółek, choć Sardou umiałby napewno „sceniczniej" opracować ten temat, a Gutzkow na tych samych motywach osnuł swego Uriela.

Jeśli domagamy się literackiego kierownika dla naszego teatru, jeśli żądamy artystycznego pogłębienia od repertuaru, to umiejmyż patrzyć po literacku na dzieło sztuki.

Wchodziłem do teatru z męczącym przewidywaniem, że popsuję sobie wrażenie czegoś bardzo pięknego, bardzo mi drogiego, co jednak próbie ognia oprzeć się nie zdoła, bo nosi w sobie jakiś błąd wrodzony, jakieś kalectwo.

Od pierwszej, niemej sceny, w której pani Kareno składa bieliznę, z niepokojem liczyłem kawałki, czując, że przedłużenie tej sceny o ćwierć minuty może pogrzebać całą sztukę, a podobnych momentów jest bardzo wiele w utworze Hamsuna. To też cały pierwszy akt wlókł się niemiłosiernie wolno: scena jest prawie ciągle pusta, drobne scenki nie wiążą się w całość, krótkie djalogi giną na scenie i tracą swe subtelne piękno; w drugiej znów odsłonie, gdy towarzystwo dzieli się na dwie części i każda grupa prowadzi osobno rozmowę, zjawiają się trudności, które tylko precyzyjna gra artystów pokonać była mogła, inaczej bowiem djalog rwać się musiał co chwila, a mimowolne pauzy i chwile milczenia przykre robiły wrażenie. Przytym sztuka cała, oparta na nuance'ach, zcśrodkowana cała w siatce wewnętrznych przeżyć, które słabymi tylko drgnieniami reflektują na zewnątrz i wytwarzają bardzo mało wzruszających zdarzeń i wulgarnie dramatycznych momentów, wymaga innego traktowania ze strony artystów i publiczności.

Dola Karena, czyny Jervena są to tragiedje ducha, do których zrozumienia nie pomaga nawet znajomość Uriela Akosty. Cele i środki, zwycięstwa i plac boju są tu zupełnie inne, głębsze i mniej efektowne.

Kareno napisał dzieło filozoficzne, które może przynieść mu sławę, zaszczyty i pieniądze, ale tylko wtedy, gdy podda je rewizji patentowanych powag, gdy zaprze się swych przekonań, gdy sprzeda swe zdolności przemożnym sędziom uczonego Sanhedrynu, Kareno uczynić tego nie może, więc zamiast u wrót królewskich staje wreszcie u progu nędzy, opuszczony przez żonę, zdradzony przez przyjaciela, ale niezłamany. Natomiast Jerven nie umiał oprzeć się pokusom życia, wszedł na drogę ustępstw i za własny grzech mścić się będzie na wszystkich tych, którzy są jego sumieniem i jak ono gorzkimi odzywają się ciągle wyrzutami.

Te dwa równolegle rozwijające się dramaty mogły były dać Hamsunowi sposobność do stworzenia niejednego silnego konfliktu, ale wolał on przenieść punkt ciężkości wrażenia z napięcia scen na charakterystykę i rysunek postaci, z brutalnego efektu zaciśniętych pięści, policzkujących się przeciwników na głębie prawdziwego bólu krwawiących się serc.

I tę właśnie stronę twórczości Hamsuna powinna była oświetlić krytyka. Powinna była wskazać wychowanej na teatrze francuskim publiczności, że są jeszcze inne źródła, z których czerpać może sztuka sceniczna i inne środki, którymi może się posługiwać, a choć poeta norweski nie stworzył arcydzieła, które byłoby skończonym wyrazem nowych dążeń, to jednak odsłonił takie drogi, których nie wolno zaorywać pługiem obojętności.

Ale prasa codzienna występująca w obronie artystycznych zadań teatru, domagająca się stosowania doń literackich wymagań, zadowoliła się tym, że postawiła dwójkę z minusem Hamsunowi, przeszła nad jego dziełem do porządku dziennego, do teoretycznych i matematycznych rachunków z p. Kamińskim. Ale p. Kamiński ma w kieszeni bumagę suto haftowaną liczbami, a sztuce Hamsuna stała się krzywda i „wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły".

Stefan Gacki.

Premjera
„Madame Butterfly".

(W Teatrze Wielkim dnia 3 grudnia).

Puccini ma szczęście w Warszawie... „Tosca", Cyganerja, „Madame Butterfly"—wypełniają widownię... Wykonawcy i wykonawczynie jego oper mają wdzięczne partje—a nadomiar wypadkowo, odtwarzały je siły wybitne. Premjera „Madame Butterfly" również zapewniła powodzenie opery wobec udziału w niej p. Gemmy Bellincioni, która jako śpiewaczka i jako utalentowana artystka dramatyczna—umie skupić całą uwagę profana-słuchacza, który indywidualny czar bohaterki nieraz poczytuje za wyraz talentu kompozytora...

Zresztą — Puccini samoistnie, gdyby go nawet parodjowano, zdoła obronić swój ta-

lent. Nie ma on szerokości frazesu. Goldmarcku, Saën Sansa (w Samsonie i Dalili), bogactwa tematów Verdiego lub arystokratycznego liryzmu Gounod'a; ale natomiast celuje gorącą, bardzo namiętną cantyleną, krótkim plastycznym quasi-recitativo, śmiałą efektowną harmonją i jaskrawą zaletą efektów instrumentacji. Mistrzowsko wyzyskuje skrzypce, harfę i wiolonczelę. Tematy przewodnie „miłości", Butterfly, „rozpaczy" wdzięczą się z fali kombinacji harmonicznych swą plastyczną dekoracyjnością.

Treść libreta zaczerpnięta z prawowzoru—„Madame Chrysantheme" Loti'ego—zawiera dużo melodramatu. Prawdopodobnie żądał tego sam kompozytor, mający skłonność do przejaskrawień. Zresztą—wybór libretta stosownie do swego rodzaju twórczego, dowodzi o kulturze twórcy. Istotnie—efekty sceniczne i muzyczne „Madame Butterfly" nie grzeszą przeciwko dobremu smakowi. Artysta umie pohamować swe rzuty melodramaturga... Modernizuje również jego zapędy p. Bellincioni, dla której, podobno, Puccini kreował rolę tytułową...

Na scenie widzimy ogród, dom Pinkertona, widok na morze, i Nagasaki. Kwitną wiśnie, słońce złoci dachy, chryzantemy okalają dom młodego anglika, który zawiera ślub z giejszą-motylkiem Chi Cho-San. Rodzina jej, dowiedziawszy się, że zmieniła wyznanie, rzuca na nią klątwę... Stara historja! Muzycznie—zrobiona świetnie, ale zagrana słabo przez *naszych* artystów. Miałem wrażenie, że wszyscy nie byli pewni—jak mają traktować tę scenę—komicznie, czy tragicznie... Stąd dla oka wrażeń nie było.

Nastroje aktu drugiego porywają swą egzotyczną subtelnością. Biedna giejsza, dziś wierna małżonka i czuła matka, czeka od lat trzech na małżonka. W końcu dowiaduje się, że się ożenił... Rozpacza, ale nie wierzy... Huk strzałów armatnich: przybywa statek — z Pinkertonem... Butterfly, stroi się, rzuca snopy kwiatów po podłodze, czekając na przybycie „męża". Gasną światła, cień spływa na dale morskie... Morze bohaterów Toho pogrąża się w słodycz snu... Butterfly zakrywa okna i stoi, jak posąg, przez noc całą, a u jej stóp wierna służąca i dziecko...

Patrząc na świetną harmonję, widz zapomina o muzyce Włocha... Wyobraźnia daje się zahypnotyzować „Japonją" na scenie... Widząc biały śnieg wisien—przez asocjację idej, przypomniałem owego Japończyka, który na wojnę woził ze sobą model domku, garść ziemi i gałązkę wiśniową... Z tym samym symbolem ojczyzny szedł na brandery wielki, uśmiechnięty, gorącą duszą pragnąc śmierci dla ojczyzny... Wiry fal oceanu śpiewały mu pieśń pożegnania, wicher niósł tajemnicze słowa sadów wiśniowych, gdzie pracowali najdrożsi sercu... błogosławiący śmierć jego dla życia innych... Ogień, kule, paszczęki armat, fontanny skier wybuchujących statków—a on nie cofa ręki z koła steru...

Banzaj! — wybucha w końcu pogardą śmierci...

Pogarda śmierci!... Nie czujemy jej ze słów libretta, ale widzimy w prześwietnej mimice Butterfly — słyszymy i w muzyce przez dyssonanse rozpaczy — w ponurym pochodzie kontrabasów. Japonka rozumie pełnię istnienia w życiu. Gdy traci ją—gardzi życiem...

Nie może istnieć poczuciem zawiedzionej miłości, która się w pogardę przeradza. A to kres straszny — pogardzić wybranym! Harakiri rozwiązuje nić cierpienia. Realizm—zbyt jaskrawy, melodramatyczny dla spółczesnych nerwów! Jednak p. Bellincioni i tu jest artystką: jej „harakiri" nie ma melodramatu, nie razi grubym realizmem, w którym się tak lubują prowincjonalni Włosi-śpiewacy... Końcowa scena nie zmusza do zamknięcia oczu, nie przeszkadza słuchać pięknia wyrazu muzyki Puccini'ego.

Zarzucają Pucciniemu powtarzanie się... Ale—któż nie okrada siebie? Jest u Verdiego temat, który z pewnymi upiększeniami powtarza się w „Rigoletto", „Nieszporach Sycylijskich", „Balu Maskowym", i... żywcem (mówię nawiasem) wpadł do „Mazepy" Münchejmera!... A Wagner? Podobieństwo wyrazów i sytuacji w libretto niezawodnie wyraża się w duszy twórcy jakąś specyficzną melodją, która w nowej harmonji i innym rytmie jest dlań nową *myślą* muzyczną. Takie powtarzania się Pucciniego w „Butterfly" są chwilowe, budząc niepotrzebne asocjacje i wspomnienia; ale żywy nerw twórczy kompozytora i jego *natchnienie*, zmusza słuchacza iść za nim i przerywać piękne pomysły muzyczne, i sceny nastrojowe. (Koniec aktu I; akt drugi i początek III-go). W roli Butterfly—pani Bellincioni najudatniej odtworzyła sceny miłosne oraz scenę z dzieckiem—porywając tragizmem rozpaczy matki, której na zawsze odbiorą dziecko.

Pod względem wokalnym świetnie towarzyszyli pani Butterfly — p. Drzewiecki, Grąbczewski i Verolli, oraz Malawski i Metaksian.

Gra jeszcze pozostawia wiele do życzenia. Orkiestrą z finezją kierował p. Rukawina. Chóry śpiewały dobrze. Dekoracja (nareszcie!) była bez zarzutu!

Powtarzam: powodzenie opery w sezonie zapewnione—naturalnie z udziałem Bellincioni lub innej wspólmiernej siły.

Antoni Miller.

NAUKA I WYCHOWANIE.

Słów kilka z powodu „Nauki o cywilizacji" p. E. Majewskiego.

Mało się ukazuje w naszej literaturze naukowej książek w rodzaju „Nauki o cywilizacji" p. Majewskiego, z tym większą więc uwagą powinno społeczeństwo witać prace takie, gdzie prócz wielkiej erudycji autor wkłada spory materjał twórczy. Oczekiwaćby należało krytyk różnorodnych—dodatnich lub ujemnych — ścierania się poglądów, wymiany zdań; ale, niestety, zwykły zawód i tym razem nie ominie naiwnie wyczekującego. Nie mamy zamiaru poddawać analizie pracy p. Majewskiego, zwłaszcza, iż jeszcze całość nie opuściła prasy; pozwolę sobie tylko na zanotowanie kilku nastręczających się uwag.

Niema chyba w słowniku naszym pojęcia, którego definicja byłaby trudniejszą, aniżeli pojęcia cywilizacji. Umysły najgłębsze stwarzały różne określenia, w każdym jednak znajdywały się takie braki i niejasności, były tak indywidualne ujęcia rezultatów, jakie dały cywilizacja i kultura, było tak dziwne pomieszanie pojęć cywilizacji i kultury, że żadna definicja za ściśle naukową uchodzić nie może. Stosownie do tego i sama nauka o cywilizacji w najrozmaitszy sposób bywa interpretowana. Są tacy, dla których jest ona całokształtem wszystkich dokonanych wynalazków i odkryć, sumą idei, będących w obiegu i sumą sposobów działania, będących w użyciu w społeczeństwie jednym słowem całokształtem życia indywidualnego i społecznego (np. Mougieolle); inaczej mówiąc — stosunek cywilizacji do kultury w pojęciu tego rodzaju zaciera się zupełnie: zlewają się one w jedno jaśniejsze i zrozumialsze, ale błędne i niesłuszne sformułowanie dwu pozostających w ścisłej zależności, ale mimo to samoistnych problematów. Są też tacy, którzy doszukują się pobudek psychicznych w człowieku - zwierzęciu, wyszukują pewne założenia, jakie zawsze w każdej gromadzie ludzkiej istnieć musiały i w analogicznych wypadkach istnieć będą, opierając się na historycznych danych dla udowodnienia, że w rzeczywistości takie formy społeczne były konieczne. Takim jest np. Brooks Adams, według którego dwa bodźce cywilizacyjne—strach i chciwość—wytworzyły cały pęd cywilizacyjny wraz ze zmianami ustroju społecznego: obawa śmierci wpływała na wyobraźnię religijną, tworzyła społeczeństwa religijne; chęć życia była bodźcem do dzieł wojowniczych, następnie — do przemysłu i handlu; a wyrodzona w ten sposób pewna nadwyżka energji przyczynia się do rozwoju społeczeństw kupieckich; mamy tu więc przed sobą trzy znane Spencerowskie typy: religijny, rycerski i przemysłowy. Jeszcze inna grupa uczonych zbiera owoce i rezultaty różnych kultur, zestawia je ze sobą, bada stopień ich rozwoju i stara się wykryć przyczyny, wskutek których kultury te wytworzyły się wśród tych właśnie ludów, stara się wytłumaczyć, dlaczego inne ludy w powstawaniu kultur udziału nie brały lub brać nie mogły. I tu wyłaniają się dwa kierunki. Zdaniem jednych — jako typowi przedstawiciele służyć mogą, Michelet, L. Miecznikow, a zwłaszcza Buckle—głównym kształtującym czynnikiem jest wpływ środowiska i będących z nim w związku warunków zewnętrznych [1]); stąd też tłumaczenie posuwania się kultur od równika ku północy i ze wschodu na zachód (co nie zawsze, zresztą jest słuszne), stąd też ustalenie pewnych izoterm, w granicach których najpomyślniej następować może normalny rozwój kultury — co szczególniej dobitnie stara się wykazać Miecznikow w swej gieograficznej teorji rozmieszczenia wielkich rzek cywilizacyjnych. Według innych jednak w samej rasie, tworzącej kulturę, muszą istnieć odpowiednie pierwiastki duchowe (stanowiące może pewne etnologiczne właściwości tej rasy), zmuszające ją do wyróżnienia się wśród innych otaczających nas i do ukształtowania kultury; zdaniem Letouneau, np. rasa czarna nie zdolna jest w tym kierunku, wyżej stoi rasa żółta, prawdziwie jednak rozwinięte zdolności w stwarzaniu kultury posiada rasa biała (naturalnie, i tu na podstawie zwykłych historycznych faktów można dojść do zupełnie innych wyników). Ale i ta trzecia grupa, stając bądź na podłożu etnologicznym, bądź też gieograficznym, zupełnie nie odgraniczyła pojęć cywilizacji i kultury, a przeciwnie ściśle związała je, rozumiejąc pod cywilizacją sumę wszystkich kultur, stworzonych przez wszystkie rasy, a pod nauką o cywilizacji—wykrycie i zbadanie warunków, wywołujących te kultury i wpływających na nie.

P. Majewski nie poszedł żadną z wymienionych dróg. Wybrał on sobie dość w niedawnych czasach utartą, a od Comte'a i pozytywistów angielskich bardzo rozpowszechnioną metodę porównywania społeczeństwa do organizmu, z tą różnicą, że do krańcowych niekiedy dowodzeń zwolenników tej metody wprowadził nowe modyfikacje. Wszelka dziejowa treść ludzkości musi, wobec tej metody, pozostać na uboczu; pozostaje jedynie ściśle teoretyczne zbadanie, co skłoniło człowieka do stwarzania społeczeństw coraz bardziej złożonych, wśród których zauważyć się daje ściśle zróżnicowanie działalności osobników. Tu wyłoni się odrazu i definicja cywilizacji, jak ją z tego punktu widzenia ujął p. Majewski: cywilizacja jest „funkcjonowaniem zróżnicowanym osobników jednorodnych i morfologicznie jednakowych, żyjących w groma-

[1]) I w historji sztuki dał się odczuć wpływ tego kierunku — np. H. Taine.

dzie, oraz wynikiem zróżnicowanego ich funkcjonowania". O ile pierwsza część określenia tego w zupełności zgadza się z całym biegiem dowodzeń Sz. Autora, o tyle druga wkracza już w części w granice pojęcia kultury. Ona to stanowi właśnie *wyniki* cywilizacji, t. j. funkcjonowania zróżnicowanego osobników, jako pewną sumę—większą lub mniejszą — jego owoców. Im wyżej stoi cywilizacja, czyli funkcjonowanie zróżnicowane osobników, tym większy jest zasób jej owoców, czyli tym znaczniejszy jest postęp (jak to już niegdyś dowodził K. v. Baer) ale tylko postęp kulturalny; wydoskonalenie bowiem etycznych podstaw niekoniecznie musi iść równolegle z postępem kulturalnym, chociaż na pierwszy rzut oka zdawałoby się to koniecznością.

P. Majewski, wychodząc z pierwszej części swej definicji, a więc pojmując cywilizację jako pewną, właściwą jedynie człowiekowi zdolność różnicowania działalności, musiał—rzecz jasna—zbadać przyczyny, jakie zmusiły człowieka do zrzeszania oraz ciągłego doskonalenia się w tym kierunku, do uspołeczniania się, różnicowania się, musiał więc stanąć na gruncie socjologicznym, ograniczając właściwie „naukę o cywilizacji" do biologicznego wyjaśnienia przyczyn zawiłego problematu powstawania społeczeństw ludzkich, tak różnych od innych „społeczeństw" zwierzęcych. Jako podstawową przyczynę uważa p. Majewski mowę, która z jednej strony staje się łącznikiem społecznym, z drugiej znów — powoduje wzrost części mózgu, fizjologicznie będących z mową w najściślejszym związku; tym się tłumaczy silny rozrost mózgu człowieka w stosunku do mózgu innych zwierząt.

(d. n.)

D-r Stefan Sterling.

Z PRASY.

O prasie ludowej w Królestwie.

(Głos z Galicji).

Kilka dni temu na łamach *Kurjera Lwowskiego* ukazał się obszerny, źródłowo i psychologicznie wiernie opracowany artykuł pod tytułem „Prasa ludowa w Królestwie". Artykuł ten, informujący Galicję o dziennikarstwie ludowym u nas, ma znaczenie aktualne nietylko tam za kordonem, ale i u nas, ponieważ i my naogół mamy bardzo niedokładne i chaotyczne wiadomości w tej dziedzinie. A jednak, w ostatnich czasach prasa ludowa u nas ilościowo pomnożyła się znacznie i staje się poważnym czynnikiem kulturalnym, z którym liczyć się należy koniecznie i znać go, jeśli nie chcemy się doczekać rozmaitych niespodzianek natury ekonomicznej, społecznej, kulturalnej i religijnej, które zjawiać się będą niezadługo naszym oczom zdumionym, bo nie przygotowanym do ich ujrzenia. Ale wracam do owego artykułu, omawiającego arcytrafnie naszą prasę ludową, wzajemny jej stosunek do siebie i do czytelnika i naodwrót.

Nie przypominam sobie, aby które z naszych pism w Królestwie pomieściło kiedykolwiek tak źródłowy artykuł na ten temat. W swoim czasie pisał o prasie ludowej u nas w *Epoce* Jan Adamowicz, ale i on nie ujął tego tematu tak wszechstronnie jak owa autorka pisząca do *Kurjera Lwowskiego* a mówiąc nawiasem osoba doskonale obeznana ze stosunkami ludowymi w Królestwie.

Skonstatowawszy na wstępie, że obecnie w masach ludowych przez które w ostatnich czasach przewaliły się całe fale rozmaitych wpływów, szemrze myśl: „Tam kędyś trzeba dojść i wnijść", mówi o żywiołowym wprost garnięciu się ludu naszego do oświaty o szerokiej fali samouctwa płynącej podziemnym łożyskiem, która inicjatywą i wysiłkiem jednostek zastępuje poniekąd brak szkół i normalne zdobywanie wiedzy. W chwili takiej, jak obecna, rola pism ludowych z samej natury rzeczy nabiera wielkiej wagi.

I tu spotykamy przedziwnie wierną charakterystykę, czem jest dla czytelnika-chłopa pismo. „Czytelnik-chłop nie przyjmuje odbieranej gazety jako popularnej informacji o biegu życia krajowego lub literackiej próby zajęcia jego wyobraźni; on ją uważa za echo z tego świata, do którego tęskni, za przewodnika na drodze swego umysłowego rozwoju, doradcę niezawodnego we wszelkich trudniejszych sprawach. Gdy przeglądałam niedawno stosy listów, nadesłanych w ciągu tygodnia do redakcji jednego warszawskiego pisma ludowego (mowa o *Zaraniu*),czułam się wprost upokorzoną wobec tej ufności i wdzięczności,złożonej w dani za podjętą pracę, byłam olśniona bogactwem świeżych myśli,głęboko w życie wnikających spostrzeżeń, wyrażonych często nieudolnie i lękliwie. Nawiasem przyznać muszę, ze była to redakcja pisma, około którego grupują się najsamodzielniejsze jednostki włościańskie". Z kolei przechodzi autorka do charakterystyki pism, wychodzących w Królestwie. Zaczyna od Nestorki ich *Gazety Świątecznej* najpoczytniejszej u nas, bo liczącej do 30,000 prenumeratorów. Czytają ją starsi, stateczni gospodarze „czerpią z niej dużo praktycznych wiadomości, umiejętnie podane fakty z polityki zagranicznej, zachętę do drobnych a stałych zmian gospodarczych, prowadzących do podniesienia kulturalnego poziomu wsi. Od piekących zagadnień chwili i wewnętrznej polityki gazeta trzyma się na uboczu, wszelkie cele partyjne były jej zawsze obce". Jej długoletni redaktor Promyk przez całe życie budował fundamenty, to też trafnie mówi o nim autorka, że „jego gazeta na równi z jego elementarzem jest „nauką czytania tylko". Tak, na *Gazecie Świątecznej* uczył się chłop polski czytać, ale już myśleć uczyły go inne pisma. I tak jest po dziś dzień *Gazeta Świąteczna* uczciwie redagowanym pismem zachowawczym. Z kolei przechodzi autorka do pisma *Naród*. „Jako narzędzie w ręku partji miało ono z założenia swego wszystkie wady, jakie pociąga za sobą konieczność naginania interesów ludowych, w szerokim tego słowa znaczeniu do celów partji politycznej, nie będącej organizacją wynikłą z samorzutnego skupienia sił ludowych". Pewnym usprawiedliwieniem dla pisma tego może być epoka jego powstania. *Naród* rozpoczął swą działalność w chwili ogólnego wrzenia. Hasło niesienia oświaty w masy ludowe było hasłem programowym, lecz zadanie chwili, gorączkowe zapasy polityczne zapanowały nad nim; pismo stało się gniazdem agitacji jaskrawej i bezwzględnej, lud stał się dla niego materjałem politycznym. Materjał to był surowy, wówczas zupełnie nie wiedziano o tym i stosowano też środki agitacyjne brutalne, nie liczące się często z prostą logiką". Stwierdzimy, że nie liczono się z budzącą się szybko samodzielną myślą chłopską, lecz ogłuszoną, otumanioną masę „pchano po drogach często obcych zupełnie jej świadomości, pod hasłem: „pójdźcie za nami, a wszystko będzie dobrze; będziemy panami w naszym własnym kraju".

Tu następuje charakterystyka tła z r. 1905 pierwszych i drugich wyborów do Dumy, następnie obniżenie życia politycznego, potym wzajemne niesnaski obwiniania ludzi i kierunków, potym kary pieniężne na gminy, zamknięcie Macierzy z całym korowodem rozczarowań i prześladowań. Pod wpływem tych wypadków *Naród* z wyżyn kierownika akcji politycznej wśród włościan, zeszedł na pisemko szowinistyczne o dźwięku pustym, z roli reżysera demonstracji politycznych, w której przetrwać nie mógł; usiłował on przejść na pracę kulturalno-oświatową, co ujawniło się w dodatkowych numerach niedzielnych, nienadto interesujących i dobrze obmyślanych, ale opartych na sztucznym nawiązywaniu nici tradycji historycznych do życia włościaństwa i jego przyszłych zadań". Tyle o ludowym organie Demokracji Narodowej. Każdy, kto zna działalność i wpływ szerzony przez to pismo a stać go na ocenę bezpartyjną jego kierunku, musi przyznać, że autorka dobrze osądziła to pismo. „Potym w paru słowach omawia *Pobudkę*, tygodnik od roku wydawany przez ludowych działaczy narodowego stronnictwa, ale niezależny od tegoż i prowadzony w sposób spokojny, dydaktyczny choć mniej żywotny, niżby się można było tego po jego kierownikach spodziewać. I znów parę słów o politycznym piśmie, wydawanym w Częstochowie przez realistów pod nazwą *Głos ludu*,prowadzonym bez znajomości terenu przez bardzo słabe siły pisarskie. Istotnie jest to pisemko bez wpływu, gdyż prowadzone jest zbyt niedołężnie i blado. Z kolei przechodzi do zdefinjowania naszej rodzimej czarnoseciinej prasy ludowej, naturalnie klerykalnej, która, rzecz prosta, odmawia wszelkiej wartości kulturalnej. O *Posiewie* i *Polaku Katoliku*, otaczanych specjalną opieką zdziecinniałego arcypasterza, a wydawanych przez ciemnego, krewkiego księdza Kłopotowskiego, mającego pewne pretensje, po części nawet uzasadnione, do nazwy działacza społecznego, czytamy w *Kurjerze Lwowskim* taką krytykę: „Obydwie te gazetki rozchodzą się szeroko, rozsiewane przez proboszczów. Dzwonią one na alarm i puszczają w ruch kropidło z wodą święconą na zażegnanie każdej śmielszej myśli, ochraniają pieczołowicie ciemnotę chłopską przed podmuchami postępu, szerzą dewocyjną formalistykę, podtrzymując tą drogą preponderancje kleru, nadto celują w napaściach polemicznych, na wszystkich nie pozostających pod rozkazami kliki Związku Katolickiego. Sprzymierzeńcem ich jest antysemicka *Rola*. I znów mamy plastyczną ocenę pism, które w nagłówku mają hasło skargi „z Bogiem i z Narodem", a ani z jednym ani z drugim nie mają nic wspólnego w praktyce. Na szczęście, ilość zwolenników tych pism zmniejsza się, jest pomiędzy ludem coraz więcej takich, których szczucie na postęp i szczerych przyjaciół i współpracowników ludu, stale przez te pisma uprawiane, oburza i od dalszego prenumerowania wstrzymuje i można śmiało twierdzić, że gdyby nie usilna agitacja ze strony proboszczów, pisma te miałyby o połowę mniej prenumeratorów niż dziś. Cieszą się one jednak przywilejami, których inne pisma nie posiadają dotąd: oto wolno je sprzedawać i rozpowszechniać na cmentarzach kościelnych i po odpustach.

St. Poraj.

(d. n.)

W prasie polskiej i rosyjskiej zjawiła się wiadomość, iż Koło polskie zawarło umowę z październikowcami celem zyskania ich poparcia dla sprawy samorządu w Królestwie Polskim i dla *ograniczenia udziału żydów w samorządnych instytucjach*.

Jakkolwiek przesuwanie się Koła na prawo zdaje się poniekąd tłumaczyć powstanie tej pogłoski, wolno chyba ufać, że póki grupa „Roli" nie będzie bezpośrednio reprezentowana w Dumie, nie powinno nam grozić tak

kompromitujące obskuranckie wystąpienie naszych przedstawicieli. Jakoż *Głos Warszawski* pismo najbliższe Koła polskiego stanowczo przeczy tej wiadomości.

Wykłady Aleksandra Świętochowskiego

o historji etyki ściągają tak liczny zastęp słuchaczy, że sala stow. Kultury Polskiej nie mogła ich pomieścić i przeniesiono je do Sali Stowarzyszenia Techników. Ostatni wykład określa znaczenie Platona w rozwoju etyki greckiej. Po ukończeniu cyklu dotyczącego Grecji zamieścimy o nim obszerniejsze sprawozdanie.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 8 grudnia.

Nie rychło reforma konstytucyjna doczeka się wejścia na porządek dzienny parlamentu niemieckiego a los jej ostateczny zależny jest od wielu czynników, które w ciągu tego czasu mogą wpływać na przekonania większości. Przedewszystkim reforma ma przeciwko sobie stronnictwa konserwatywne, które stanowczo dążą do jej odrzucenia lub cofnięcia. Już teraz nie poprzestają na polemizowaniu z wnioskodawcami w organach swej prasy, lecz używają wszelkich środków w celu wmówienia narodowi, że rządy osobiste cesarza Wilhelma przyniosły państwu same korzyści, gdyż wybitna osobistość monarchy góruje wyraźnie ponad przeciętnością zwykłych polityków. „Kreuzzeitung" puszcza się na niesmaczne i nietrafne porównywanie Wilhelma II z Arystydesem Ateńskim, któremu spółcześni dali przydomek „Sprawiedliwy..." Wiadomo przecież, że Arystydes był przeciwnikiem wielkich projektów morskich Temitoklesa i za to uległ ostracyzmowi z wyroku ludu, podczas gdy cesarz niemiecki jest twórcą programu marynarki, będącego solą w oku Anglikom.

Więc tedy przymioty osobiste nowożytnego Arystydesa, który w zaciszu liebenberskim układał wespół z ks. Eulenburgiem hymn do Egira, zdaniem junkrów pruskich zapewnić mogą państwu to wszystko, co gdzieindziej osiąga się jedynie za pomocą ścisłego określenia w ustawach zasadniczych prawnych rękojmi porządku konstytucyjnego. Walka z konserwatystami będzie w parlamencie tym trudniejsza dla stronnictw postępowych, że konserwatyści mieć będą za sobą energiczne poparcie ze strony rządu, jak o tym wnosić można już z dotychczasowego sposobu postępowania kanclerza Bulowa. Nie przybył on sam na posiedzenie, lecz przysłał za siebie p. Bethmann-Hollweg'a, który oświadczył, że rada związkowa rozważy to co większość parlamentu postanowi. Przez takie oświadczenie oczywiście ani życzliwość rady związkowej dla projektu ani współdziałanie ze strony rządu bynajmniej nie jest zapewnione.

* * *

Równocześnie na zewnątrz Niemiec, to co się dzieje w łonie trójprzymierza nie wzbudza spokoju i zaufania do tego związku, który przez urzędowych przedstawicieli podawany jest za najdzielniejszą maszynę do utrzymania pokoju powszechnego. Manifestacje ludowe, rozwijające się przed dziesięcioma dniami w całym półwyspie Apenińskim, są niewątpliwie dowodem, że w masach narodu włoskiego ani polityka austryjacka, ani sojusz z Austrją nie są popularne. To co się działo na wiecach publicznych nabrało doniosłego i charakterystycznego wyrazu w rozprawach jakie w parlamencie włoskim toczyły się w zeszłym tygodniu o polityce bałkańskiej rządu. Patrjotyczna i męskim ożywiona duchem mowa dawnego premiera p. Fortisa stała się pobudką do wywołania podniosłej sceny, rozbudziła entuzjazm wszystkich członków zgromadzenia i niewątpliwie skutki jej polityczne okażą się niezadługo. Na razie Włosi ukorzyli się przed potrzebą zachowania ostrożności i zaaprobowali politykę trójprzymierza, bronioną przez p. Tittoni'ego i przez prezesa gabinetu Giolitti'ego, lecz taka rezolucja Izby, wcale nie dowodzi, iż wielki znak zapytania pod jakim stanęły Włochy wobec trójprzymierza, został już przekreślony. Nienawiść przeciw Austrji podsycana jest przez wzmożenie prądów wolnomyślnych, a obawy przed wiecznym wrogiem zjednoczenia włoskiego znajdują ulgę w jawnie okazywanych Włochom sympatjach państw zachodnich. W samej znów Austrji kwestja aneksji Bośni i Hercogowiny zaczyna budzić niepokojące różnice opinji.

Nie potwierdziły się wprawdzie jeszcze doniesienia o buncie 227 żołnierzy czeskich, przeznaczonych do wymarszu do Bośni, lecz jeżeliby okazały się prawdziwymi, byłoby to wskazówką, że w dalszym rozwoju wypadków nie zbraknie jeszcze Austrji poważniejszych niespodzianek. O niezręczności rządu wiedeńskiego w postępowaniu z Włochami i z Czechami, odzywają się już nawet nieprzychylnie rozmaite dzienniki berlińskie, które jednakże z zadowoleniem aprobują stanowisko, jakie rząd niemiecki zachowuje wobec swego wiernego sprzymierzeńca.

Wśród wikłającej się masy trudności Austryjacy z wdzięcznością widzą w ostatniej mowie ks. Bülowa rękojmię, że z tego zamętu wydobędzie ich szczęśliwie dłoń potężnego sąsiada i sojusznika.

St. P.

KRONIKA.

— Na poufnym posiedzeniu Dumy, które ma odbyć się jeszcze przed ferjami świątecznymi, minister spraw zewnętrznych Izwolskij wyjaśni pogląd sfer rządowych na stanowisko sprawy bałkańskiej i na aneksję Bośni i Hercegowiny, przyczym będzie rozpatrywana sprawa nowej pożyczki zewnętrznej na sumę 500 miljonów rubli.

— Z Pragi Czeskiej donoszą, iż d. 2 b. m. ogłoszono tam stan oblężenia. Dla wykonania doraźnych wyroków nad schwytanymi na uczynku przestępcami politycznymi delegowano kata z Wiednia. Do barona Aerenthala udała się deputacja socjalistów czeskich i niemieckich z żądaniem natychmiastowego zniesienia tego rozporządzenia; Aerenthal odmówił, dodał jednak, że to nastąpi w najbliższej przyszłości.

— Na wyspie Haïti (Republika) wybuchła zupełnie niespodzianie rewolucja. Uzbrojeni obywatele-rewolucjoniści zajęli miasto i arsenał. Zorganizowano rząd prowizoroczny, na czele którego stanął gienerał Ségitione. Poprzedni prezydent gienerał Nord Aleris pod osłoną flagi francuskiej i pod osobistą eskortą przedstawiciela Francji schronił się na statek francuski. Uciekającemu prezydentowi towarzyszyły przekleństwa tłumu. Rewolucję uplanował i przeprowadził z nadzwyczajną skrupulatnością gienerał Canel.

— Projekt samorządu miejskiego i ziemskiego rozpatrywany obecnie przez Radę ministrów ma być w tych dniach nadesłany warszawskiemu gienerał gubernatorowi dla wyrażenia o nim swoich opinji.

— Senatorowi Garynowi Najwyżej rozkazano dokonać rewizji wszystkich instytucji rządowych (za wyjątkiem duchownych) z prawem pociągania do odpowiedzialności sądowej i zawieszania w służbie winnych przekroczenia urzędników aż do 4 klasy włącznie bez porozumienia się z przełożonymi tych urzędników. Śledztwo w sprawie policji moskiewskiej wypadło dla niej bardzo niekorzystnie. Były komendant miasta gienerał Reinbot zostaje oddany pod sąd.

— W dniu 3 grudnia w Teheranie znowu rozlepiono dekret Szacha zawiadamiający ludność, że medżylis nie będzie zwołany. Poselstwo rosyjskie i angielskie zwróciły się do Szacha z protestem.

— Cesarz austryjacki podpisał amnestję dla wszystkich oskarżonych o obrazę majestatu do d. 2 b. m. oraz wszystkich skazanych za różne przestępstwa na więzienie do 2-ch tygodni.

— Podpora tronu i ładu społecznego — Koło polskie w Berlinie sprawiło nam pewną niespodziankę, zgłosiwszy do prezydjum parlamentu wniosek żądający aby parlament mógł być zwoływany nietylko jak to jest dotychczas, przez Cesarza, ale też i na żądanie grupy członków parlamentu. Przy tej sposobności hr. Mielżyński wypowiedział obszerną mowę, w której zaznaczył potrzebę rozszerzenia praw parlamentu, odpowiedzialność kanclerza wobec tegoż, osiągnięcia tym sposobem dla narodu możności współdecydowania o swoim losie. „Tylko zmiana konstytucji, mówi hr. M., zapewniając ludowi w swych przedstawicielach prawo współdecydowania o swoim losie, może położyć koniec tym nieznośnym stosunkom", „umożliwić działalność zapobiegawczą i usunąć możność wydawania poza jego plecami postanowień, których potym nie można odwrócić". „Usiłując, kończy hr. M., i ze swej strony dołożyć cegiełkę do tego wielkiego gmachu mającego zapewnić prawa i dobro narodu niemieckiego zadajemy kłam tym, którzy w zamiarze siania nienawiści wmawiają w naród niemiecki, iż go nienawidzimy i że prowadzimy walkę rasową przeciwko niemu", walczymy tylko przeciw wrogowi wspólnemu: przeciwko systemowi absolutystycznemu i reakcyjnemu, gnębiącemu każdą kulturę, każdą wolność". Z przyjemnością witamy ten zwrot na lewo Koła polskiego, aczkolwiek niedowierzamy, aby był zdecydowanym i ciągłym gdyż „nie urodzi wrona sokoła", a Koło polskie ciągle do tej pory wysługiwało się absolutyzmowi — reakcji, trzeba było dopiero wywłaszczeń i ograniczeń językowych, aby Koło Polskie otrzeźwić.

— W d. 8 b. m. w sali Filharmonji Warszawskiej uroczyście obchodzono 50-letni jubileusz Papieża.

— Podobnie jak w Moskwie ma być naznaczona rewizja senatorska i w Petersburgu w połowie stycznia r. p.

— Francuska Izba deputowanych 320 głosami przeciwko 200 odrzuciła projekt prawa, znoszący karę śmierci na przestępców kryminalnych.

— Sąd państwowy w Ruhrort (Westfalja) uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności prezesa związku robotników polskich Sobińskiego za urządzenie wiecu „[illegible]".

Książki nadesłane do Redakcji.

— Fergus Hume: „Zielona Mumia". Lwów. Nakł. księg. kolej. H. Altenberga.

— Stefanja Tatar: „Za Słońce". Lwów, Księgarnia polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp.

— Stanisław Wagner: „Choroby zakaźne zaraźliwe, objęte ustawą u zwierząt domowych". Lwów. Nakład autora. Warszawa, Księg. E. Wende i S-ka.

— Klaczko: „Wieczory florenckie". Wydanie.

— St. Wyspiański: „Wesele". Nowe wyd. Gebethner i Wolff.

— Klewe: „Z pamiętnika pchły i inne ucieszne historje". Nakł. księg. Feliksa Westa w Brodach. Warszawa, E. Wende i Sp.

—Ludwik Kulczycki: „Rewolucja Rosyjska". Lwów, Nakł. Księg. polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

— Nitzsche. Dzieła tom X. Przekład K. Drzewieckiego, Nakładem Jakóba Mortkowicza. Warszawa, G. Gentnerszwer i S-ka.

— Jakób Lewkowicz: „Z filozofji judaizmu". Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

— D-r Michał Wyrostek. „Urządzenia polityczne w Szwajcarji". Nakł. Spółki nakładowej „Książka". Warszawa, G. Centnerszwer i Sp.

— M. Heilpern: „W jaki sposób poznajemy świat". Nakł. G. Centnerszwer i Sp.

— Leonid Andrejew: „Opowieść o siedmiu powieszonych". Wydanie łódzkiej spółki nakładowej. Łódź, księg. Alf. Straucha.

OFIARY.

Na Towarzystwo wpisów szkolnych: Janina Zaleska z Żytomierza rb. 25.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W. Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty)

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop.20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**
Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.